

Albendorf, Albinów, Okrzeszyn
w opowieściach pierwszych , polskich
mieszkańców.



Słowo wstępne

Opowieści powstały na podstawie rozmów i wywiadów przeprowadzonych z jednymi z pierwszych, polskich mieszkańców Okrzeszyna. Wszyscy znaleźli się tu wskutek tragicznych wydarzeń II wojny światowej i dramatycznych, powojennych przesiedleń ludności.

W 1945 roku przyjechali do wsi noszącej niemiecką nazwę Albendorf:

Lonek (Longin Fedorczyk, lat siedem),

Gienia (Genowefa Klimczak, lat szesnaście)

oraz Zosia (Zofia Pach, lat jedenaście).

W 1947 - już do Okrzeszyna - przyjechała Jasia (Janina Kucharzak, lat osiemnaście), a w 1959 Frania (Franciszka Bołzan, lat dwadzieścia dwa).

Wspomnienia wyżej wymienionych osób wzbogaciły i uzupełniły gromadzoną od kilkunastu lat wiedzę o bogatej i skomplikowanej historii naszej miejscowości. W przystępnej formie można tę historię poznać zwiedzając wystawę Albinów⁴⁵, prowadzoną w Okrzeszynie przez Stowarzyszenie Doliny Zadrny.

Opowieści zawierają opisy faktów widzianych oczami dzieci, nastolatków i ledwie dorosłych. Łączniki wprowadzone przeze mnie dla zachowania płynności tekstu czytelnik z łatwością rozpozna.

Wyrażam wdzięczność moim Rozmówcom za zaufanie i powierzenie mi swoich osobistych historii. Dziękuję rodzinom zmarłych Gieni, Jasi i Zosi za pomoc w dopracowaniu ich opowieści. Dziękuję wszystkim dawnym i obecnym, polskim i niemieckim mieszkańcom wsi Albendorf / Albinów / Okrzeszyn za wkład w naszą wspólną opowieść o tym niezwykłym miejscu.

Sławek Zielen

Lonek

Longin Fedoroczuk ur. 1939, przyjechał do Okrzeszyna w 1945 roku z chutoru¹ Jamne, rejon Sarny, obwód Równe, Wołyń, dziś Ukraina.

Lonek urodził się w chutorze Jamne na dalekim Wołyniu. Jego dziadek Adam Garbowski pochodził z polskiej rodziny szlacheckiej, która tytuł otrzymała w 1820 roku po wojnach napoleońskich. Ożenił się z Pauliną z domu Lech, z którą miał dwie córki – Mariannę i Filomenę. Filomena poślubiła Piotra Fedorczyka, któremu dała córkę Marysię i czterech synów Lonka, Roberta, Janka i Bronka. Lonek był najstarszym z nich. W domu mówiono po ukraińsku i kultywowano dwie religie. Filomena była baptystką, a Piotr zielonoświątkowcem.

Dziadek miał głowę do interesów. Skupował od okolicznych chłopów wychudzone bydło, podpaszał je i sprzedawał za ruble w złocie² Żydom z pobliskiego Rokitna³. Dodatkowych dochodów dostarczało mu wożenie paniczów powozem. Pracował wytrwale, powiększył pastwisko i pola uprawne karczując dwanaście hektarów lasu, przy ścianie którego postawił okazały dom. Zięć czyli ojciec Lonka pomagał teściowi w gospodarstwie, córka zajmowała się domem, a wnuki rosły jak na drożdżach. Pięć mlecznych krów, stado kur, świnie i duży ogród wystarczały, żeby wszystkich wykarmić i jeszcze sprzedać nadwyżki na jarmarku. A jarmark w Rokitnie to było coś ! Na rynek w środku miasteczka dwa razy w miesiącu zjeżdżali okoliczni chłopci, przybywali mieszczenie – Polacy, Ukraińcy

¹ Chutor – niewielka osada rolnicza, charakterystyczna dla polskich Kresów Wschodnich

² Złote ruble miały dużą siłę nabywczą, były cenione za stabilność wartości i akceptowane przez kupców niezależnie od narodowości. W mniejszych miejscowościach Kresów płatności w złocie traktowano jako bezpieczniejsze — łatwiej je było przechować i przewieźć niż gotówkę papierową.

³ Rokitno zasłynęło przed wojną hutnictwem szkła i przemysłem drzewnym. Umiejętności hutnicze przywieźli ze sobą Polacy z Mazur. Wielki tartak zorganizowali przedsiębiorcy żydowscy, którzy realizowali zlecenie polskiego rządu na wycinkę kilkunastu kilometrów lasu pod budowę wielkiej linii umocnień na granicy polsko – rosyjskiej.

i Żydzi żeby coś kupić, coś sprzedać, popatrzeć na kuglarzy, napić się piwa i pogadać. Mama opowiadała Lonkowi jak w dzieciństwie przemykała między wozami, oglądała słodczyce i drewniane zabawki, na które czasem udawało jej się ojca naciągnąć. Uwielbiała też odwiedzać katarzyniarza z papugą na ramieniu. Czasem bawiły się tam dziewczynki od Cymermanów, którym papuga za zakupione wcześniej losy podawała z pudełka pierścionki i broszki.

Sielskie życie Fedorczyków przerwała hitlerowska nawała, która w 1941 roku dotarła na Wołyń. W jej cieniu, w głowach ukraińskich nacjonalistów, rozgorzało antypolskie szaleństwo. Cały świat Lonka ogarnął mrok.

14 lipca 1943 do Jamnego weszły oddziały UPA⁴. Dom Fedorczyków stał pod lasem, prawie dwa kilometry od chutoru. Dziadek Lonka wszedł na drabinę i krzyknął – Palą domy ! Fedorczykowie zebrali dobytek, jaki mogli unieść i pędząc przed sobą bydło, uciekli do lasu. Szli wśród ogromnych dębów, grabów, buków i sosen. Filomena niosła rocznego Jasia w chuście, jedną ręką prowadziła Roberta, a w drugiej trzymała dzbanek pełen miodu. Lonek podbiegł do mamy – pomogę nieść miód ! - O tak synku, weź proszę. Złapał za duże ucho i dzielnie dźwigał zielony dzbanek, a rozrzedzony upałem miód chlupał, skapując na trawę. Lonek oglądał się od czasu do czasu za siebie i patrzył na skrzące w słońcu krople miodu. W końcu nie wytrzymał, rozsiadł się na łące i zbierał miód z trawy palcami, dokładnie je oblizując. Po dłuższej chwili Fedorczykowie zorientowali się,

⁴ UPA (Ukraińska Powstańcza Armia) – zbrojne ramię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Powstała w 1942 roku. Działała na rzecz niepodległości Ukrainy, prowadząc walkę partyzancką przeciwko Niemcom, Sowieciom oraz polskim oddziałom. UPA jest także związana z masowymi mordami na ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1943–1944 (tzw. rzeź wołyńska – galicyjska). Udzielanie pomocy Polakom przez ludność ukraińską było przez OUN-UPA karane śmiercią, często wymierzaną całej rodzinie, nierzadko w formie publicznej egzekucji.

że brakuje im najstarszego syna. Piotr zostawił bydło i ruszył z powrotem. Znalazł Lonka wędrującego samotnie przez łąki. Chłopiec ciągnął za sobą zielony dzbanek. Ojciec chwycił syna pod pachę i po chwili znów zniknęli w gęstym lesie. Przed zmrokiem Piotr zbudował z gałęzi prowizoryczny szałas. W nocy obficie padało i kiedy przez szałas popłynęła woda sięgająca chłopcom do kolan, Fedorczyk przyciągnął wielki, sosnowy konar i ustawił go w taki sposób, żeby chłopcy mogli usiąść na gałęziach, ponad wodą. Noc minęła niespokojnie. Robert i Lonek nie mogli usnąć w niewygodnych pozycjach. Jaś wybudzał się i kwilił, a Filomena starała się go uciszać. Nazajutrz Piotr poszedł się rozejrzeć i wrócił z dobrą wiadomością, że tym razem ich dom ocalał. Stał daleko od wsi i może dlatego umknął zaślepienym nienawiścią oczom napastników. Fedorczykowie wrócili do siebie. Po kilku dniach znów zrobiło się groźnie. Filomena akurat powiesiła na płocie pierzyny do przewietrzenia, kiedy ich dom zaczęli z oddali obserwować trzej Ukraińcy, uzbrojeni w siekiery. Z dużej odległości wzięli pierzyny za białe konie, którymi pewno zajechali jacyś żołnierze. Poszli więc do sąsiedniego domu, w którym mieszkali Ukraińcy i kazali gospodarzowi zejść do Fedorczyków i zbadać co i jak. Ten, kiedy dotarł do celu, powiedział Fedorczykom, żeby szybko uciekali do lasu, bo grozi im straszne niebezpieczeństwo. Po powrocie, ryzykując życiem, nakłamał trzem uzbrojonym złoczyńcom, że u Fedorczyków siedzi ruskie wojsko.

Dom ocalał po raz drugi, ale...

- Do trzech razy sztuka - mruknęło zło...

Po kilku dniach, do domu Fedorczyków przybył niemiecki żandarm. Rozsiadł się w ogrodzie, zdjął z głowy czapkę i starł rękawem munduru pot z czoła. Pies Fedorczyków zaraz podbiegł do niego, wesoło merdając ogonem. Żandarm podniósł z ziemi gęsie piórko i przekomarzał się z psem, łaskocząc czarny, mokry nos. Dziadka ani taty nie było w domu. Matka

zebrała synów na schodach ganku, objęła ich i z niepokojem wyczekiwała chwili, kiedy Niemiec zdradzi przyczynę najścia.

- Haben Sie brod Frau Fedortschuk ⁵ ? – zapytał żandarm.

Filomena skinęła głową i zniknęła w sieni. Po chwili wróciła i wyciągnęła w stronę Niemca rękę z kromką. Ten żuł powoli, nie przerywając zabawy z psem, a kiedy skończył mruknął *lecker, lecker* ⁶, po czym wstał i wyjął z kieszeni pudełko zapalek.

- Morgen brennen wir dein Haus ab. Ihr wohnt zu nah am Wald, ihr könntet den Partisanen helfen ⁷ - to mówiąc wyciągnął w stronę Filomeny rękę z zapaloną zapalką.

- Dom z nami ?! – krzyknęła przerażona matka zagarniając chłopców do siebie.

- Nein, nur haus. Morgen wird ein Auto kommen, ihr sollt eure Sachen packen. Ihr werdet nach Rokitno fahren, dort gibt es viele freie Wohnungen von Juden ⁸.

Filomena słabo znała niemiecki, ale zrozumiała, że ich życie w Jamnem się kończy. Rankiem następnego dnia Fedorczukowie zapakowali dobytek na auto podstawione przez Niemców i wyjechali do Rokitna, zostawiając za sobą płonący dom.

Miasteczko było ciche. Ziemia na rynku miała rdzawy kolor. Żydzi z Rokitna zniknęli. Najpierw stłoczono ich wszystkich w getcie, w nieludzkich warunkach, z głodowymi racjami żywnościowymi, a po kilku miesiącach dręczenia, zapędzono na rynek 1631 dzieci, kobiet i mężczyzn i rozstrzelano. Tych, którym udało się uciec wyłapano, wywieziono do pobliskich Sarn i tam zabito. O tych wydarzeniach dowie się Lonek dopiero, kiedy dorośnie.

⁵ Czy ma pani chleb ?

⁶ Smaczny

⁷ Jutro spalimy wasz dom. Mieszkacie za blisko lasu, możecie pomagać partyzantom.

⁸ Nie, tylko dom. Przyjedzie auto, spakujcie rzeczy. Pojedziecie do Rokitna, tam jest wiele mieszkań po Żydach.

Drewniane łóżka kwatery pełne były pluskiew. Mama zagotowała wodę i sparzyła szczeliny desek. W powietrzu uniósł się fetor gnijących malin⁹. Rodzina zasypiała w ponurym nastroju. Jamne, ich rodzinny chutor spłonął do reszty. Nie mają domu, nie mają bydła, nie mają nic. Ponowne osiedlenie na Wołyniu stało się dla Fedorczyków zbyt niebezpieczne. Nie uratowałoby ich ani to, że Fedorczyk był ukraińskim chłopem, ani to że w domu mówiono po ukraińsku¹⁰. Fedorczykowie musieli uciekać. Szansę na nowe życie miał im dać wyjazd na zachód.

Przez Kluczbork i Kamieniogórę¹¹ trafili do Albendorfu. To była długa i bardzo męcząca podróż. Towarowe wagony pozbawione wygod, zatłoczone przesiedleńcami zatrzymywane były na wielu stacjach, na których koczowano przez kilka dni, a potem znów ruszano w drogę. Brakowało jedzenia i wody. Niech to się wreszcie skończy, wszystko jedno co zastaniemy u celu byleby już być na miejscu – słychać było z różnych ust. Zanim dojechali do Kluczborka utknęli na dwa tygodnie na dworcu w Krakowie. Otaczały ich tłumy takich jak oni. Filomena pilnowała dzieci jak kwoka kurcząt. Lonek wystawiał głowę spod jej skrzydeł i patrzył na transporty wiozące na wschód, do Związku Radzieckiego różne maszyny i zniszczony sprzęt wojskowy. Raz udało mu się nawet wypatrzyć platformy pełne pokiereszowanych samolotów niemieckich z charakterystycznymi krzyżami na skrzydłach.

– Wiozą je do hut Lonek, przetopią na nowe ruskie samoloty - powiedział ojciec.

– Tato, a jak Niemcy przyszli to spalili nam dom, a jak Rosjanie przyszli

⁹ Pluskwy mają gruczoły zapachowe, które wydzielają oleiste substancje obronne (aldehydy, głównie trans-2-octenal i trans-2-hexenal). Przy zgnieceniu lub gwałtownej śmierci (np. sparcenie wrzątkiem) związki te wydzielają się w dużym stężeniu, stąd intensywny, owocowo-zjełczały zapach.

¹⁰ Zbrodniarze z UPA prześladowali małżeństwa mieszane. Zdarzało się, że kazali ukraińskiemu ojcu zabić polską żonę i dzieci, a jeśli odmówił, zabijali i jego. Czasem zabierali dzieci ze sobą, a matkę zabijali.

¹¹ Kamieniogóra – nazwa Kamiennej Góry do maja 1946

to dali konserwy, pamiętasz ?

- Pamiętam synu, pamiętam – westchnął ciężko stary Fedorczyk.

W Albendorfie ojciec znalazł dom i gospodarstwo przypominające dawne siedlisko na Wołyniu. To miejsce Niemcy nazywali Neuhäuser. Było położone na południe od wsi. Wiodła do niego malownicza, mniej więcej dwu kilometrowa droga prowadząca wzdłuż porfirowych skał. Oprócz domu rodziny Pazeltów, który wybrał Fedorczyk, stały tu jeszcze dwa inne - stary i nowy dom Suchanków. Ci uciekli wiosną przed Armią Czerwoną, a ich domów nikt nie zasiedlił. Stary, drewniany ledwo się trzymał na zmurszałej podmurówce uszykowanej na pochyłości łąki. Od strony drogi front jeszcze jakoś wyglądał, ale tył zmęczony dźwiganiem wielkiego, dwuspadowego dachu opadł i niemal wbijał się kalenicą w zbocze. Sam dach pokryty łatami papy też źle wyglądał i wróżył chacie rychły koniec. Stojący obok nowy dom Suchanków był leśną willą pozbawioną stodoły i obory. Ładny - pomyślał Fedorczyk, ale nie willi szukał. Za to dom Pazeltów był idealny. Miał wszystko co powinien mieć. Parter murowany jak należy, góra drewniana, zdrowa i mocna. Dach o równych, gładkich połaciach wspierały grube krokwie. Fedorczykowi zależało też na krowach, wiadomo trójkę dzieci nie jest łatwo wykarmić, a na pobliskim pastwisku doliczył się krów aż sześciu.

– Proso będzie tu dobrze rosło Piotrze – Filomena roztarła w dłoniach garść szarej, wilgotnej ziemi zupełnie innej niż w środku Okrzeszyna, gdzie przeważała czerwona, gliniasta gleba. Często mawiała – kto jada proso, ten chodzi boso – co znaczyło, że jedzenie prosa zapewnia końskie zdrowie i nie zaszkodzi mu nawet chodzenie na bosaka.

Pazeltowie przywitali ich na progu. Dziwne to było spotkanie, bo ani Niemcy nie mówili po ukraińsku, ani Fedorczykowie po niemiecku. Stary Franz Pazelt był ogromny, a i jego żona Rosa do filigranowych nie należała.

Lonek zadarł głowę i popatrzył na wielkiego Niemca, a ten popatrzył w dół i mrugnął okiem do małego Polaka. Rosa gestem zaprosiła wszystkich do środka. Przez ganek weszli do wielkiej izby. Pośrodku stał solidny stół otoczony drewnianymi krzesłami z wyciętymi w oparciach sercami. Pod ścianą huczał piec chlebowy, złożony z pięknie zdobionych, zielonych kafli. Wokół pieca ustawiono zmyślnie drewniane ławy. Lonek zaraz wskoczył na jedną nich i przyłożył plecy do ciepłej ceramiki. Patrzył na haftowane zazdrostki, do których przez otwarte okna przytulały się gałęzie jabłoni. Przypominały mu rodzinny dom, psa, huśtawkę i ten dzień kiedy żandarm przyszedł zmienić dziecięcą radość w bolesne wspomnienie. Głos mamy zapraszający do stołu powstrzymał napływające do oczu łzy. Usiedli w milczeniu. W wielkiej misce parowały gotowane ziemniaki. Obok stał garnek z twarogiem zmieszany z masłem, a przy nim słój z melasą zrobioną z buraków cukrowych. Ze słoja sterczała drewniana łyżka. Przed Pazeltem Rosa ustawiła duży, słomiany talerz, przed pozostałymi mniejsze, ceramiczne. Stary Franz przeżegnał się i pomodlił. Na słomiany talerz wrzucił kilka ziemniaków, kawałek sera i polał je melasą. Lonek nigdy wcześniej nie jadł ziemniaków z melasą. Kwaśny ser ze słodkim syropem mu posmakował, ale ziemniaki na słodko, bleeee. Nagle z powały spadł do pazeltowego talerza prusak. Stary Franz wyciągnął owada palcami, otrzepał z melasy nad talerzem, rzucił na podłogę i rozdeptał. Filomena zasłoniła dłonią usta i wybiegła na podwórko. Ojciec uśmiechnął się – Filomena jest taka delikatna. Wszyscy skinęli głową ze zrozumieniem jakby byli jedną rodziną. Po obiedzie Rosa złożyła naczynia w głębokim zlewie. Lonek podszedł do niego, stanął na palcach, zajrzał w głąb i pokręcił głową z niedowierzaniem – wszystko macie tu takie wielkie jak wy !

Następnego dnia Lonek obudził się bardzo wcześnie i ubrany zbiegł po schodach do izby. Stary Pazelt szykował się do wyjścia, Rosa krzątała się w kuchni. Lonkowi mignęła przed oczami jakaś postać, która zniknęła

za drzwiami do ganku. Chciał pobiec za nią, ale Pazelt pochwycił go za kołnierz. Szamotali się przez chwilę. Rosa podeszła z kawałkiem drożdżowego ciasta, które podała Lonkowi przykładając palec do ust i uśmiechnęła się łagodnie.

– Moechtest du milch Lonek ? ¹² – spytała.

Chłopiec zrobił wielkie oczy więc Niemka wzięła go za rękę i zaprowadziła do kredensu.

– Kuk mal, da ist der milch ¹³ – i wskazała palcem kubek.

– Dobry milch – Lonek wypił kilka łyków i oblizal białe wargi.

Dopiero kilka dni później Lonek dowiedział się, że tajemnicza postać to Maria, córka Pazeltów, którą rodzice zaczęli ukrywać, kiedy do Albendorfu dotarła Armia Czerwona. Ukrywanie Marii okazało się też zasadne, kiedy Rosjan zastąpiło polskie wojsko.

Franz wyszedł na ganek i zaczął wkładać buty. Lonek podbiegł do niego – mogę iść z tobą ? – bardziej pokazał niż powiedział. Pazelt skinął głową. Po chwili obaj szli w górę, skrajem lasu wzdłuż pastwiska. Lonek rozglądał się ciekawie, liczył krowy albo odwracał głowę i patrzył na okoliczne wzgórza. Stary Pazelt przystanął i pierdnął tak potężnie, że aż z modrzewia poleciało igliwie. No, no – chłopiec pokręcił głową z podziwem. Zanim doszli na wierzchołek góry Lonek dyszał jak parowozik. Tu było całkiem inaczej niż w Jamnem. Albendorf ze wszystkich stron otaczały wzgórza, wybiegane na nizinach nóżki chłopca dopiero się z nimi oswajały.

- Da ist Schneekope ¹⁴ – Pazelt wskazał górę, która majaczyła daleko na horyzoncie. Lonek wyteżył wzrok podążając za palcem starego. Palec był duży, lekko skrzywiony o wyrazistych stawach. Mocny paznokiec

¹² Napijesz się mleka Lonek ?

¹³ Spójrz, to jest mleko.

¹⁴ Tam jest Śnieżka.

zakończony czarnym rantem przecinał niebo i dotykał góry, najwyższej ze wszystkich.

- Schneekope - powtórzył Pazelt.

- Byłeś tam kiedyś ? – zapytał Lonek – wspierając mowę żywą gestykulacją.

- Nee, war ich nicht dort aber mein sohn Johan war ¹⁵ - Pazelt poparł słowa gestami wskazując malca, swoje serce i górę.

- Gdzie jest twój sohn ?

– Veit veit von hier ¹⁶ - stary wyciągnął rękę na wschód.

- My przyjechaliśmy stamtąd - odpowiedział rezolutnie Lonek - on też przyjedzie.

Stary pokiwał ze smutkiem głową. Stali tak dłuższą chwilę wpatrując się w dal. Nagle Pazelt uniósł głowę, nasłuchiwał chwilę i szybko ruszył w dół. Lonek biegł żeby za nim nadążyć i dyszał – co się stało, co się stało ! Kiedy wbiegli na podwórko ujrzeli szarpiącą się z żołnierzami Rosę. Pazelt złapał Lonka za rękę, niemal wrzucił przez sień do domu i ruszył w stronę żołnierzy. Jeden z nich puścił Rosę, uniósł broń i wymierzył w Pazelta, ale ten złapał karabin razem z dłonią żołnierza i ścisnął tak mocno, że zgniótłby pewno i rękę, i karabin, gdyby nie cios kolbą, który zadał mu drugi z żołnierzy. Stary upadł. Kiedy się ocknął, Rosa trzymała jego głowę na nogach i obmywała krew lnianą chustą. Filomena od czasu do czasu przepłukiwała chustkę w miednicy. Napaści na Pazeltów powtarzały się, aż w końcu Filomena nie wytrzymała i poszła do strażnicy wojskowej na skargę.

– Chłopcy odreagowują wojnę pani Fedorczyk, trzeba ich zrozumieć. Wiele strasznych krzywd doznali od Niemców, nadszedł czas zemsty – głośno i zdecydowanie zakomunikował dowódca strażnicy.

¹⁵ Nie, nie byłem ale mój syn Johann był.

¹⁶ Daleko, daleko stąd.

– Zemsty na prostych ludziach !? – wykrzyknęła Filomena. - Niech szukają Werwolu¹⁷ po lasach i się mszczą jak tacy dzielni. Łażą po domach, biją, gwałcą i kradną, to ma być ta wasza nowa Polska ? Jak pan nic z tym nie zrobi, pojedę do Kamieniogóry¹⁸ do waszych przełożonych, nie pozwolę na taki rozbój.

– Napytacie sobie biedy Fedorczukowa ! Pamiętajcie, że bliższa ciału koszula, dowództwo jest tam, ale tu ja rządzę. Oj uważajcie ! – wojskowy poczerwieniał z wściekłości. Filomena wybiegła trzaskając drzwiami. Jej odwaga na coś się jednak zdała, bo od tego czasu pogranicznicy omijali dom Pazeltów łukiem.

Na skraju drogi na skarpie nad strumieniem rosły śliwki rodzące niezwykle słodkie owoce – ulubiony przysmak Pazelta. Obok śliw, w starym pniu osy urządziły sobie gniazdo. Pazelta nie ruszały, ale inni bali się podejść do drzew z obawy przed użądleniem. Pewnego dnia, w same wykopki spocony Pazelt szedł z pola do domu po wodę. Lonek zobaczył go z daleka i schował się w krzakach przy śliwach, a kiedy stary podszedł bliżej zamieszał drążkiem grabi w gnieździe os. Rozdrażnione owady otoczyły Pazelta i zaczęły go niemiłosiernie żądlić. Stary uciekł do domu wymachując rękoma, ale kątem oka zdążył jeszcze zauważyć małego urwisa z grabkami. Później Rosa długo opatrywała głowę i szyję męża. Pazelt słowem się nie odezwał do Lonka, ani nie poskarżył na niego rodzicom. Kilka dni później wybrał odpowiedni moment, kiedy Fedorczukowie poszli do wsi zostawiając w domu tylko Lonka. Zaciągnął na głowę koszulę, zgarnął chłopca pod pachę i poniósł prosto do śliw.

¹⁷ Werwolf – niemiecka organizacja dywersyjna powołana w 1944 do prowadzenia sabotażu na ziemiach utraconych przez III Rzeszę. W rejonie Sudetów Werwolf działał dość aktywnie. Jego członkowie dopuszczali się zbrodni, prowadzili akcje dezinformacyjne i propagandowe, których celem było sianie chaosu na Ziemiach Odzyskanych. Ciekawostką jest, że struktura organizacyjna tej formacji była wzorowana na polskim państwie podziemnym działającym w czasie niemieckiej okupacji.

¹⁸ Kamieniogóra to nazwa Kamiennej Góry w latach 1945 – 1946, przedwojenna nazwa niemiecka Landeshut.

Podniósł leżący na ziemi patyk i zamieszał nim w gnieździe. Lonek rozdarł się jak zarzynane prosię przy pierwszym użądleniu. Pazelt czekał jeszcze chwilę, a kiedy kolejne osy wbiły żądła puścił chłopca i Lonek pobiegł z płaczem do domu. Tym razem Filomena opatrywała głowę i szyję, a potem dokładnie natarła syna serwatką¹⁹.

Pewnego dnia Lonek wybrał się z Pazeltem po świeżą koniczynę dla krów. Franz prowadził przed sobą tragarz²⁰ z umocowaną do niego sznurkiem kosą, a Lonek to podbiegał, to znów przystawał i przyglądał się czemuś ciekawemu na ścieżce. Kiedy doszli na łąkę za lasem, Niemiec porządnie naostrzył kosę i sprawnymi, szerokimi ruchami ciął koniczynę równiutko przy samej ziemi. Pokosy układał zaraz na tragarzu i ten po kwadransie był już prawie pełny. Lonek obserwował Niemca, a kiedy znalazł dogodny moment, wcisnął się w koniczynę na tragarzu tak, że zupełnie nie było go widać. – No to sobie podjadę do domu – pomyślał. Pazelt zapakował ostatni pokos i rozejrzał się za chłopcem. – Na gut, Lonek ist schon wieder verschwunden. Wahrscheinlich ist er nach Hause gelaufen²¹. – mruknął do siebie. Podniósł kosę nad głowę i energicznie wbił ją w koniczynę. – Aj ! – krzyknął Lonek, któremu ostrze kosi przeszło między szyją i ramieniem na szczęście bez draśnięcia. Niemiec zbladł jak ściana. Nerwowo rozgarnął koniczynę, wyciągnął Lonka i trzymając przed sobą w rękach, obejrzał z każdej strony, po czym postawił chłopca na ziemię i opadł na kolana. Lonek patrzył w wystraszone oczy Pazelta, serce biło mu szybko i bał się odezwać. Wracali do domu markotni. Stary Pazelt wyobrażał sobie, co by mu Polacy zrobili gdyby przypadkiem ranił tego chłopca. Lonek bał się, że dostanie lanie od ojca, jeśli Pazelt powie co się stało, ale Pazelt przemilczał.

¹⁹ W medycynie ludowej na popularnym sposobem łagodzenia bólu po użądleniu osy było przecieranie skóry kwaśną serwatką. Wynikało to z przekonania, że kwaśny płyn neutralizuje jad i zmniejsza pieczenie.

²⁰ Rodzaj dużych tacek o podwyższonych burtach.

²¹ No tak, Lonek znów gdzieś zniknął. Pewno pobiegł do domu.

Po dżdżystej jesieni przysła śnieżna i mroźna zima. W życiu Lonka to była pierwsza zima w górach. Bywało, że po nocnych opadach śnieg sięgał do okien i wtedy do wsi nie było jak dojść. Chłopcy przesiadywali w dużej izbie na dole, a mama pilnowała żeby czytali książki, z których treści od czasu do czasu ich przepytowała. Pazelt znosił ze strychu lniane tkaniny, Rosa wybierała z nich różne kawałki, z których Filomena szła na maszynie marki Singer koszule i spodnie. Fedorczyk doglądał zwierząt, naprawiał sprzęt gospodarski i przesypywał ziarno w skrzyniach, żeby nie zgniło. To ziarno Franz z Piotrem rozdrabniali w śrutowniku. Śrutę sitami rozdzielali na grubszą dla zwierząt i drobniejszą nadającą się do wypieku chleba. Raz w tygodniu Rosa piekła siedem bochenków, po jednym na każdy dzień. Uformowane bochny wkładała do pieca, a resztki ciasta Filomena rozwałkowywała, cięła na kawałki i układała na blasze kuchni. Chłopcy mlaskając patrzyli jak płaskie, białe ciasto wygina się i pęcznieje, bąble powietrza pękają, a krawędzie rumienią. Te podpłomyki znakomicie smakowały z kwaśnym mlekiem, które Fedorczyk przynosił z ziemianki. Masło wyrabiali w niemieckiej, korbowej buterfasie ²², zagniatli sery na bukowych deskach, wirowali mleko w centryfudze ²³, jakoś szła ta niemiecko – polska gospodarka. Pod koniec marca zaczęły się roztopy. Rosa przyniosła do domu bukiet pierwszych kwiatów i postawiła na oknie w wazoniku z zielonego szkła.

– Die knotenblumen – powiedziała.

- Po ukraińsku vesnyana bilocvitka, a po polsku śnieżycza - powiedziała Filomena.

- Schneschytza - powtórzyła Rosa łamiąc sobie język i obie zaśmiały się głośno.

²² Buterfasa - napędzana korbą lub elektrycznie masielnica – urządzenie do domowego wyrobu masła.

²³ Centryfuga – wirówka służąca do oddzielania śmietany od mleka.

Potem wyrosły zawilce i pierwiosnki. Z pobliskiego Betrheldsborfu Pazelt przyniósł czosnek niedźwiedzi i na kromkach ze smalcem zazieleniły się długie, aromatyczne liście, lekko szczypiące wargi. Do tej pory Pazeltowie spali razem w obszernej izbie na dole, a z nimi na sąsiednich łóżkach Filomena i Piotr. Dzieci cisnęły się w dwóch pokoikach na górze. Wkrótce miało się to zmienić. Przyroda przeżywała kwietną pełnię, powietrze niesło dąsy kochliwych drozdów, świergotków i rudzików, ostatnie grudki brudnego śniegu splukiwały wiosenne deszcze. Blask Słońca dodawał wigoru. Pewnej nocy Fedorczyków obudził huk i trzask łamiącego się drewna. Rodzice zerwali się na równe nogi.

– Chałupa się wali ! - krzyknął Piotr.

Z góry zbiegły po schodach do izby zaspane dzieci. Piotr zapalił świecę. Wśród desek pękniętego na pół łóżka leżał goły Pazelt, a pod nim goła Pazeltowa. Brat Lonka zachichotał, ale zaraz oberwał w ucho od matki i zamilkł. Piotr westchnął, zdmuchnął świecę i Fedorczykowie wrócili do łóżek. Pazeltowie dospali do rana na podłodze.

- Piotr – wyszeptła Filomena przewracając się na bok – trzeba coś z tym zrobić, izba jest przejściowa, nie chcę żeby chłopcy oglądali takie rzeczy.

– Ta Rosa, ale ma wielki zad – wymamrotał Piotr i też oberwał w ucho.

Nazajutrz Filomena i Piotr kazali Niemcom przenieść się na górę, a sami z dziećmi zajęli obszerną izbę. Od teraz oni byli tu gospodarzami. Filomena rzadziej dopuszczała Rosę do kuchni, Fedorczyk zaznajomił się z obsługą większości gospodarskich maszyn i urządzeń więc nie prosił już Franza o radę. Latem Pazeltowie zaczęli się pakować. Nadzieje Franza na powrót syna z wojny stopniały. Fedorczykowie patrzyli na Niemców z rosnącym wyrzutem. Filomena podejrzewała, że Rosa bałamuci jej męża. We wsi Niemców już prawie nie było, a ci co zostali mówili, że polska władza wkrótce wprowadzi komunizm i ich wszystkich pozabija więc pakowali

swoje rzeczy osobiste i wyjeżdżali. Polskie władze pozwalały im zabrać tylko jedną walizkę.

- Jak w jednej walizce zmieścić całe życie – rozmyślał Pazelt - wszystko co mamy zostaje, a tam dokąd jedziemy nie mamy nic. Najpierw wojna zabrała mi syna, a kiedy się skończyła zabrała resztę.

Piotr Fedorczyk – z dobrego serca – jak mawiał, dał Pazeltom na drogę chleb i osełkę masła. Walizkę, chleb i masło zabrali Pazeltom żołnierze na stacji w Kamiennej Górze. Do zachodnich Niemiec dotarli bez niczego, tak jak bez niczego przyjechali do nich rok wcześniej Fedorczykowie.

Od września 1946 Lonek i Robert zaczęli chodzić do szkoły. Jeszcze na bosaka, bo buty wciąż zakładało się tylko od święta. Przy pierwszych przymrozkach stopy nieźle marzły. Chłopcy zachodzili wtedy po drodze do nowego domu Suchanków. W przestronnym holu walały się kartonowe opakowania i kawałki paździerzowego sznurka. Dobry materiał na prowizoryczne obuwie, które wystarczało do połowy drogi, do wzgórza, a potem znów boso, biegiem z góry do samej szkoły. W szkole najprzyjemniejsza była ciepła, drewniana podłoga, zapuszczona przepalonym olejem, na której bracia rozgrzewali zmarznięte stopy. Mama co rano wkładała synom do kieszeni dwa jajka, które wymieniali na świeże, zwykłe bułki ²⁴ w piekarni Linkego stojącej tuż obok szkoły. Jeśli po drodze zapomnieli na chwilę o ładunku w kieszeniach i zanadto się wygłupiali, siedzieli na lekcjach głodni, za to w spodniach ufajdanych stłuczonymi jajkami. W drodze do domu chłopcy mijali opuszczony i przeszabrowany pensjonat Zum Kronprinz von Preussen. Majestatyczny, barokowy budynek sąsiadujący z kościołem. Wciąż stała przed nim biała ławka, na której kiedyś przesiadywali zmęczeni góorską wędrówką turyści.

²⁴ Rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów z 29 maja 1946 w sprawie ograniczenia obrotu wyrobami cukierniczymi zabraniało sprzedaży wyrobów cukierniczych we wtorki, środy, czwartki i piątki. W te dni chłopcy nie mogli otrzymać drożdżówek za przyniesione jajka.

Przyszła kolejna zima. Fedorczukowie okrzepli w nowym miejscu. Do codziennych rozmów wkładało się nieśmiało słowo „nasze” mimo, że państwo polskie ociągało się z nadaniem aktu własności. Filomena i Piotr dobrze gospodarzyli, jednak obowiązkowe dostawy żywności egzekwowane przez państwową administrację nie pozwalały spokojnie patrzeć w przyszłość. Chłopcy rośli, jedzenia nie brakowało, ale trzeba było ich jeszcze ubrać, wykształcić. Państwo odbierało każdą nadwyżkę ziemniaków, zboża i mleka za grosze, podczas gdy sprzedaż na wolnym, czarnym rynku mogła dać godziwy zarobek.

- A teraz jeszcze zachciało się rządowi daniny narodowej²⁵ - powiedziała zdenerwowana Filomena po przeczytaniu obwieszczenia. Skąd mają wziąć 2000 zł ?! Tyle co trzysta kilo ziemniaków ! W dodatku danina ma pójść na zagospodarowanie ziem odzyskanych, a przecież oni sami mieszkają na tych ziemiach, to może sami by sobie te ziemniaki dali. - Nic nam nie dawajcie, wystarczy jak nie zabierzecie – krzyknęła w sufit Filomena, która znów poczuła, że trzeba zawałczyć o swoje. W lutym 1947 roku zwróciła się do Gminnej Rady Narodowej w Szymrychu²⁶ z wnioskiem o zmniejszenie daniny. Nic nie wskórała. Urzędnicy uważali, że ręce mają związane przepisami. Poza tym skrzętnie unikali jakiejkolwiek inicjatywy ze strachu przed przełożonymi, którzy z kolei bali się swoich przełożonych i tak dalej. Władza ludowa opierała się na - w większości - miernych urzędnikach wciąż trzęsących się o własne stolki, a każdy przejaw urzędniczej samodzielności mógł się skończyć zwolnieniem. Braki w wyszkoleniu kadra administracyjna nadrabiała gorliwością w bezkrytycznym wykonywaniu poleceń przełożonych.

²⁵ Dekret z dnia 13 listopada 1946 o daninie narodowej na zagospodarowanie Ziem Odzyskanych nakładał na rolników obowiązek wpłacenia kwoty daniny zależnej od obszaru gospodarstwa.

²⁶ Szymrych (niem. Schömberg) to pierwsza powojenna nazwa Chełmska Śląskiego.

Mimo trudności Fedorczukowie wierzyli, że resztę życia spędzą wreszcie w spokoju, w zielonej głuszy, że wyleczą się z wołyńskiej traumy, że zapomną o wojnie. Pewno by się im to udało, gdyby i władza ludowa chciała zapomnieć o Fedorczukach, ale władza nie zapomniała i pewnego dnia wysłała do nich komisję wojskowo – polityczną.

- Mieszkacie blisko lasu, możecie pomagać szpiegom, wrogom ludowego państwa, dlatego nakazuje się dom ten opuścić i przenieść się do Okrzeszyna, do zabudowań nr 27. Tutejsze gospodarstwo zostanie wyburzone.

Z domu dwóch rodzin Pazeltów i Fedorczuków pozostał kawałek cembrowiny w strumieniu i zdziczałe śliwy. Kamienna podmurówka posłużyła do budowy przyczółków leśnych przepustów, mijanych przez słabnący z każdym rokiem strumyk. Podobny los spotkał stary i nowy dom Suchanków. Kilkanaście hektarów najlepszej, ornej ziemi zabrał las. Neuhäuser, leśna osada złożona z trzech domków, rozsypała się pod rządami nowej władzy.

Gienia

Genowefa Fertala z.d. Klimczak 1929 – 2013, przyjechała do Okrzeszyna w 1945 roku ze wsi Złotne, gmina Nawojowa, powiat nowosądecki.

Z domu stojącego na zboczu, po drugiej stronie Popradu, Gestapo²⁷ zabrało dwie dziewczyny. Ktoś doniósł, że noszą partyzantom jedzenie do lasu. Starsza była w ciąży. Wzięli je na przesłuchanie do Nowego Sącza. Jakoś tydzień później pod dom wróciła czarna limuzyna. Ludzie w tartaku przerwali pracę i patrzyli co się dzieje. Odległość była znaczna, ale położenie domu na pochyłości za rzeką ułatwiało obserwację. Z auta wysiadło dwóch mundurowych. Bez ceregieli wyszarpali dziewczyny z pojazdu i pociągnęli ze sobą do drzwi. Gienia usłyszała krzyk - Oft die Tür, aber schnell ! ²⁸ Przed dom wyszli rodzice dziewcząt. Niemcy pozwolili rodzinie na chwilę prywatności odchodząc na bok, na papierosa. Po kilku minutach obaj zapetowali jak na rozkaz, podeszli do obejmujących się ludzi i odciągnęli obie dziewczyny pod starą lipę rosnącą jakieś dwadzieścia metrów od domu, wyciągnęli pistolety i zastrzelili młodszą z dziewcząt. Obie były skute razem więc upadająca dziewczyna pociągnęła za sobą starszą, która przyklękła podtrzymując jedną ręką ciężarny brzuch. Jeden z gestapowców podszedł do niej od tyłu i strzelił w głowę. Kiedy upadła, przewrócił ją na wznak butem i strzelił w brzuch. Ojciec osunął się po ościeżnicy, a matka podbiegła do leżących córek, upadła na kolana i w rozpacz rwała włosy z głowy wyjąc jak zarzynane cielę. Niemcy rzucili okiem w stronę tartaku, wsiedli do auta i odjechali. Gienia

²⁷ Gestapo – niemiecka Tajna Policja Państwowa (skrót od Geheime Staatspolizei), działająca w III Rzeszy i okupowanej Europie w latach 1933–1945, odpowiedzialna za ściganie przeciwników politycznych, represje i terror wobec ludności cywilnej.

²⁸ Otwierać drzwi, tylko szybko !

i pozostali pracownicy stali bez ruchu sparaliżowani okrucieństwem wydarzeń. Patrzyli na płynącą u ich stóp czarną wstęgę Popradu.

Gienia miała szesnaście lat, kiedy przyjechała z rodzicami do Albendorfu. Urodziła się w Złotnem niedaleko Rytra. Wczesne dzieciństwo spędziła kątem u cioci. Było biednie. Matka najmowała się do różnych prac, a ojczym doglądał koni w co bogatszych gospodarstwach. Kiedy Gienia podrosła, ojczym Paweł Nosal postanowił wysłać ją na roboty do Niemiec. Doniósł do Arbeitsamtu ²⁹ w Nowym Sączu, że tu i tu przebywa zdrowa, silna dziewczyna bez zajęcia, która mogłaby wspomóc wojenny wysiłek niemieckiej gospodarki. Liczył na to, że za jednym zamachem pozbędzie się nieswojego potomstwa i brzucha do wyżywienia. Na wezwanie urzędu do Nowego Sącza pojechała mama.

– Wie alt is deine Tochter ³⁰ – zapytał urzędnik.

- Vierzehn ³¹ – odpowiedziała matka.

– Zu junge nach Deustchland ³².

I tak Gienia uniknęła deportacji, ale poczuła, że trzeba ojczymowi zniknąć z oczu. Tartak w Rytrze pracował pełną parą, do pracy przyjmowano każdego chętnego. Niemiecki kucharz wziął ją do pilnowania kotłów. Łącznie z Genią w tartacznej kuchni pracowało osiem dziewcząt. Wreszcie mogła zjeść do syta i przy okazji nauczyć się niemieckiego, który wkrótce okazał się bardzo przydatny. Z początku chodziła do Rytra ze Złotnego przez Zadnie Góry. Żeby nastawić na rano kocioł kawy dla pracowników musiała wstawać w środku nocy, a potem wędrować trzy godziny przez ciemny las. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności rodzina przeprowadziła się wkrótce do austeryjki ³³ w Młodowie skąd do Rytra

²⁹ Niemiecki Urząd Pracy

³⁰ Ile lat ma pani córka ?

³¹ Czternaście

³² Za młoda na wyjazd do Niemiec

³³ Austeria, polskie słowo oznaczające karczmę, pochodzi od włoskiego słowa osteria. Austerie często prowadzone były przez Żydów, zwykle w oparciu o umowy najmu zawierane z polskimi właścicielami.

było znacznie bliżej. Porządku w tartaku pilnowali kierownik, niemiecki kucharz, strażnik – Ślązak wcielony do niemieckiego wojska i dziesięciu funkcjonariuszy ukraińskiej policji pomocniczej. Ukraińcy zwrócili uwagę Gieni wyjątkowo mocną i wysoką posturą. Wielkie pnie drzew przeciągały po placu dwukonne zaprzęgi powożone przez polskich pracowników. Polacy obsługiwali też traki, których zęby w mgnieniu oka rozcinały twarde pnie na deski. Gienia była bystrą dziewczyną, szybko uczyła się nowych obowiązków, szybko przyswajała język niemiecki. Pewnego dnia jedna z niemieckich urzędniczek, imieniem Emma, darząca nieśmiałym uczuciem oficera Wehrmachtu, poprosiła Gienię o przysługę. Zadanie miało polegać na dostarczeniu urodzinowego prezentu do dworu w Muszynie, gdzie ów oficer stacjonował. Odważna dziewczyna odpowiedziała, że owszem załatwi sprawę, ale tylko w towarzystwie koleżanki i jeśli obie dostaną bilety na kolej. Niemka przystała na te warunki. Podróż wzdłuż migoczącego w słońcu Popradu zachwyliła dziewczęta. Śmiały się i podekscytowane wskazywały palcami co bardziej eleganckie wille i pensjonaty. Z dworca w Muszynie poszły do dzielnicy Podzamcze, znalazły zapisany na kartce numer i zapukały do drzwi. Oficer otworzył, popatrzył na dziewczęta nieco zaskoczony i spytał czego chcą.

– Wir haben ein Geschenk von Emma³⁴ – odpowiedziała Gienia.

– Naaa, komm herein³⁵– Niemiec przesunął się tak, żeby mogły swobodnie wejść trzymając we dwie prezent przed sobą. Ujął pudełko delikatnie, położył na stole i otworzył powoli jakby obawiał się bomby. Od lipca w okolicy wzmogła się aktywność polskiej partyzantki i wśród Niemców zrobiło się nerwowo. Prezentem urodzinowym był śliczny tort, nie bomba jednak oficer wciąż nie dowierzał polskim dziewczętom więc ukroił dwa kawałki i kazał im zjeść. Potem siedział i patrzył czy nic im nie jest. Po pół

³⁴ Mamy prezent od Emmy.

³⁵ No dobrze, wchodźcie.

godzinie wstał i powiedział:

- Na gut. Ihr könnt gehen. Sagt Emma Danke³⁶.

W drodze powrotnej dziewczętom wojna ucichła w głowach, nie było niemieckiego oficera, nie było Emmy ani tartaku, tylko błyszcząca rzeka i zielone góry.

Jesienią na tartak napadli partyzanci. Niemiecki kucharz umknął ze swoimi skarbami, zdobytymi na Żydach z tartaczego obozu. Ranna zmiana znalazła go w przydrożnym rowie. Przemarzył na wskroś i zsiniały trząsł się jak galareta, a mimo to w zaciśniętej pięści, wciąż ścisnął woreczek z biżuterią. Resztę złego majątku kucharza razem z cukrem i kuchennymi zapasami partyzanci ponieśli ze sobą w góry. Wkrótce kucharz wystraszony zejściem wyniósł się na zachód. Niemca zmieniła polska kucharka, która złagodziła kuchenne stosunki i Gieni lżej się przy niej pracowało. Z biegiem czasu coraz większych trudności przysparzało zaopatrywanie kuchni w produkty spożywcze. Pewnego dnia kierownik tartaku załatwił w odległych o niecałe dziesięć kilometrów Barcicach wymianę pięćdziesięciu kilogramów cukru na gęś. Razem ze strażnikiem załadowali worek z cukrem na wóz, zaprzęgli konie i w samo południe ruszyli w drogę. Długo nie wracali. Emma rwała włosy z głowy, chodziła w kółko i wrzeszczała - Wo ist der Leiter, wo ist der Leiter, warum kommt er nicht zurück ³⁷!? Ta sama, elegancka Emma, która jeszcze rok temu spokojnie piekła tort, teraz roztrzęsiona, nieporządna wpadała w histerię szerzącą się wśród niemieckich cywili, odkąd Armia Czerwona zaczęła miażdżyć Wehrmacht na całym froncie wschodnim. Pod wieczór wrócił strażnik, któremu śląskie pochodzenie uratowało życie. Niemieckiego kierownika tartaku partyzanci zastrzelili, a cukier zabrali. Pół roku później wojna nad Popradem się skończyła. Niemcy opuścili dolinę wypchnięci

³⁶ No dobrze. Możecie iść. Podziękujcie Emmie.

³⁷ Gdzie jest kierownik, dlaczego nie wraca !?

przez Rosjan. Gienię i jej rodzinę wypchnięto z kolei z austeryjki. Do lata pomieszkiwali to tu, to tam, aż ojczym zadecydował – jedziemy na zachód.

Josef Tschöke, jak co rano, wyciągnął ze studni bańki z mlekiem z wieczornego udoju. Odkąd ze wsi wynieśli się Rosjanie, w ładowaniu baniek na wóz znów pomagała mu żona. To co wydarzyło się wcześniej zamknęli w pudełku rodzinnych tajemnic. Zresztą, mimo że Rosjanie opuścili Albendorf większość dziewcząt i kobiet wciąż bała się wychodzić z domów, a najmłodsza od Scholzów ze strachu nie podchodziła nawet do okna. Josef założył na rękę przepisową białą opaskę,³⁸ i smyrnął koński zad lejcam.

- No ja Hans, nach Liebau bitte. ³⁹

Koń Hans znał drogę do skupu mleka na pamięć i Josef mógł się zdrzemnąć ogrzewany promieniami wschodzącego Słońca. Droga wiała się malowniczą doliną osłoniętą pasmem Rabengebirge⁴⁰. W drodze powrotnej Josef zatrzymał wóz przed nasypem kolejowym. Torowiskiem przejechał pociąg. Skład ciągnął niewielki parowóz z wysokim kominem, za nim podążały dwa wagony towarowe i jeden osobowy wypełniony ludźmi.

- Was macht diese Menge in unserem Würstenbahn ⁴¹ ? – pomyślał Josef. Za torami zaczynał się Berthelsdorf⁴². Josef przeżegnał się mijając Sankt Mattheus Kirche, kościół górujący nad okolicą ze zbocza Krähen-Hügel⁴³.

³⁸ 3 września 1945 roku Urząd Pracy w Szymrychu (dziś Chełmsko Śląskie) wydał obwieszczenie o obowiązku noszenia przez Niemców białych opasek. Zarządzenie obejmowało teren gminy zbiorowej Szymrych, do której należał też Okrzeszyn (wówczas jeszcze Albendorf). Opaska miała 9 cm szerokości i kosztowała 25 groszy. Obwieszczenie opublikowano w językach niemieckim i polskim.

³⁹ No Hans, do Liebau proszę. (Liebau to dziś Lubawka.)

⁴⁰ Obecnie Góry Krucze

⁴¹ Co robi ten tłum w naszej kolejce kielbaskowej. Kolejka Doliny Zadorny (niem. Ziedertalbahn), której trasa łączyła Kamienną Górę między innymi z Chełmskim Śląskim i Okrzeszynem nazywana była przez Niemców Würstenbahn (pol. Kolej Kielbaskowa) z powodu zapachu jakim wypełniały wagony przewożone przez pasażerów wędzone na świerkowych szyszkach kielbaski – lokalny specjał.

⁴² Berthelsdorf to niemiecka nazwa dzisiejszego Uniemyśla. W latach 1945 – 47 Bartoszewo.

⁴³ Kościół św. Mateusza w Uniemyślu zbudowany w latach 1748-1749 z inicjatywy opata krzeszowskiego Benedykta Seidla. Spłonął 27 lipca 1972 roku w niewyjaśnionych okolicznościach. Od 2013 roku odbudowywany

Przejechał obok milczącej tkalni Stahelów⁴⁴, która kilka miesięcy wcześniej jazgotała pracą krosien. Za tkalnią, po drugiej stronie drogi stał dom sołtysa - Gerichtskretschan⁴⁵. Josef, z przyzwyczajenia, zajrzał przez okna do sali szynkowej, ale przy stołach nikt nie siedział i nie dzwoniły szklane kufle.

Co z tym wszystkim będzie - pomyślał.

W połowie Albendorfu stanął przy sklepie Kopetschów⁴⁶. Ci przynajmniej wciąż handlują. Kupił mąkę, a spod lady dostał jeszcze kawę oraz cukierki dla córek Brigide i Edith.

– Co z nami będzie Frau Kopetsch ?

- Gorzej z nami będzie Josef. Trzeba się pakować i jechać na zachód.

– Pani łatwo mówić, zamkniecie sklep i w drogę, a potem otworzycie nowy gdzieś na tym zachodzie.

- A ja jak miałbym tam zabrać dom i oborę, i krowy, i ziemię ?

- Josef, Josef - Kopetschowa wychyliła się zza lady i kiwnęła palcem żeby nadstawił ucho. – Nic nie zabierzecie, bo wcześniej oni wam wszystko wezmą. Myślicie, że jak Russe⁴⁷ poszli, to już będzie spokój ? Nie będzie. Czesi mordują nas na drogach, a Polacy wywożą do Landeshut, tam biją i okradają, a potem gołych i głodnych wyganiają za Odrę i Nysę⁴⁸.

– Trzeba przeczekać – odparł niepewnie – trzeba przeczekać.

staraniem lokalnej organizacji pozarządowej – Stowarzyszenia Doliny Zadnrny. Krähen-Hügel to dziś Wronie Wzgórze.

⁴⁴ Tkalnia rodziny Stahel funkcjonowała do 1945 roku. Upaństwowiona po wojnie działała do lat 50., później przejęta przez Zakłady Chemiczne Gambit z Lubawki, następnie sprywatyzowana i zmieniona w wytwórnię kosmetyków, później zniszczy. Obecnie niszczeje. Okazały budynek przemysłowy stoi w centrum wsi Uniemyśl.

⁴⁵ Gerichtskretschan – karczma sądowa, zwyczajowa nazwa domu sołtysa, który zgodnie z prawem magdeburskim miał prawo sądenia i wyszynku. Zwykle raz w roku, w sali szynkowej czyli w sercu karczmy odbywał się sąd. Po wojnie karczma w Uniemyślu uległa znacznej destrukcji. Obecnie, gruntownie wyremontowana przez znaną organizację pozarządową – Klub Przyrodników ze Świebodzina, pełni funkcję stacji terenowej i jest miejscem cyklicznych działań edukacyjnych z zakresu ochrony przyrody.

⁴⁶ Rodzina Kopetsch prowadziła w Albendorfie sklep kolonialny. Można było w nim również wypić kawę i wysłać list. Po wojnie budynek uległ zniszczeniu. W jego miejscu znajduje się obecnie plac zabaw.

⁴⁷ Rosjanie

⁴⁸ Brutalne wysiedlenia ludności niemieckiej z Polski i Czechosłowacji w roku 1945 wiązały się z przemocą fizyczną, grabieżą mienia i licznymi ofiarami śmiertelnymi. Od końca 1945 roku stopniowo przyjmowały bardziej zorganizowany, administracyjny charakter.

Kiedy Josef wrócił do domu, na podwórku, na kilku walizkach siedziała obco wyglądająca rodzina. Gienia przywitała się z gospodarzem po niemiecku i zerknęła na ojczyma, a ten rzucił jej ponagląjące spojrzenie. - Mein Stiefvater hat euer Haus für uns ausgewählt. Ab jetzt werden wir gemeinsam hier wirtschaften⁴⁹.

Pod Josefem ugięły się nogi. Opuścił głowę. – Więc jednak – pomyślał. Po dłuższej chwili mruknął –no ja - a do żony rzucił - Meine Frau, bereite bitte Frühstück für alle vor⁵⁰.

Niemiecka gospodyni usadziła wszystkich przy stole w izbie, razem dziesięć osób. Piątka Nosali, czwórka Tschöke'ów i młody Hans Geisler – syn sąsiadów, który praktykował w gospodarstwie Josefa i zdobywał przez nikogo już nie liczone punkty, do nieistniejącej już szkoły rolniczej⁵¹. Gienia podśmiewywała się później z młodego Geislera, że nosi takie samo imię jak koń. Śniadanie składało się z zalewajki czyli sfirlonej na mleku mąki, chleba z masłem i kawy. Wygłodzeni kilkudniową tułaczką Polacy rzucili się zachłannie na jedzenie i zanim Josef rozpoczął modlitwę, wszyscy mieli już pełne usta i szybko, skrycie przeżuwali, żeby przełknąć przed końcowym amen.

Gemeinsam⁵² – westchnął Josef. Po spotkaniu, które w świetlicy zorganizowała Niemcom polska administracja wiedział już, że Polacy przyjadą tu nie jak wcześniej do przymusowej roboty, ale żeby zająć ich miejsce. Teraz to on, Josef Tschöke syn Ottona, siedzący na ojcowiznie, w domu zbudowanym przez jego dziada, będzie pracował dla Polaków.

⁴⁹ Mój ojczym wybrał dla nas wasz dom. Od teraz będziemy tu wspólnie gospodarować.

⁵⁰ Żono przygotuj proszę śniadanie dla wszystkich.

⁵¹ Hans pracował w gospodarstwie rolnym, co było typowe dla młodzieży uczącej się w szkołach rolniczych w III Rzeszy. Praktyki zawodowe w prywatnych gospodarstwach stanowiły część obowiązkowego programu edukacyjnego. Kiedy wieś przejęła polska administracja szkoła niemiecka już nie funkcjonowała, mimo to Hans kontynuował pracę w gospodarstwie.

⁵² Razem

W ostatnich dniach żywił się nadzieją, że nie przyjedzie ich wielu, że ominą jego dom skryty za leszczynowym gajem albo że zajmą tylko opuszczone gospodarstwa. Z kolei ojczym Gieni wiedział, że najkorzystniej będzie umościć się w dużym domu, przy niemieckiej rodzinie posiadającej stado krów i odpowiednio duży areal ziemi. Rodzina Tschöke do planu Nosal pasowała jak ulał. Od razu nakazał Niemcom opuścić izbę i wynieść się na piętro. Biednym, nowosądeckim osadnikom dom Tschöke'ów zdawał się pałacem. Z przestronnej sieni drzwi prowadziły do obszernej izby, a drewniane schody do trzech wygodnych pokoi na górze. Komody pełne były pościeli, zastaw stołowych i ubrań. W kącie izby stały maszyna do szycia, elektryczna masielnica i pralka. Ojczym zdecydował, że kuchnią i domem zajmie się frau Tschöke z pomocą Gieni, a gospodarstwem Josef. On Nosal będzie wszystkim zarządzał. W przedłużeniu domu stały pod wspólnym dachem obora, stajnia i stodoła. W oborze Nosal naliczył dziesięć krów, pięć cieląt, dwa woły, a w stajni dwa konie. – Gienia, chodź tu biegiem i pytaj szwaba czego krowy się nie pasą.

– On mówi, że krowy nigdy nie wychodzą, stoją w oborze i jedzą ze żłobów siano, śrutę i świeżą trawę, której trzeba codziennie nakosić. Następnego dnia, kiedy Josef pojechał z mlekiem do skupu Nosal wypędził krowy na łąkę. Biedne zwierzęta nienauczone samodzielnego rwania trawy były z głodu do południa. W końcu zaczęły niewprawnie skubać, ale przez kolejnych parę dni mleka było mniej. Kiedy Josef Tschöke wrócił ze skupu Nosal kazał mu wysypać zawartość kieszeni na stół, przeliczył pieniądze i schował do dzbanka.

– Gienia powiedz mu, że od dziś wszystko co uzyska ze sprzedaży jest nasze.

Przez resztę lata przybysze uczyli się obsługi maszyn rolniczych. Żniwa z pomocą kosiarki i snopowiązałki, młocka bez cepów, wentylatory i prasy

do słomy, młynki do odplewiania ziarna.

– Tak można pracować ! - krzyczał przy młockarni zadowolony Nosal.

W zimie Polacy nauczyli się obsługiwać hydrofor, pralkę, elektryczną masielnicę i magiel. Święta obie rodziny spędziły osobno. Niemieckie piętro cicho śpiewało „Stille nacht”⁵³, a polski parter wesoło dudnił „Przybieżeli do Betlejem pasterze”, co zważywszy na przesiedleńcze okoliczności zdawało się całkiem na miejscu. Wigilia nie była skromna mimo kiepskiego zaopatrzenia wiejskich sklepów. W zapasach rodziny Tschöke znalazła się mąka i kapusta na pierogi, jesienne grzyby ususzone na sznurkach i kilka pstrągów z potoku. Nowy rok obie rodziny witały z przeciwnymi nadziejami, bo mimo jako takiej zgody nie dało się ukryć, że jedni i drudzy woleliby zostać sami.

Verfluchten, verfluchten !⁵⁴ – Gienia usłyszała za oknem krzyk Josefa i wybiegła przed dom. – Jezu Maryja, czy wyście powariowali – wrzasnęła do braci, którzy kamieniami rzucali w dach nad stodołą tłukąc dachówki - swój dach tłuczecie durnie ! – Nie swój tylko niemiecki – odkrzyknęli – nasz jest po tamtej stronie.

Na początku lata w Scholtisei ⁵⁵ – dawnym domu sołtysa, ogromnej barokowej budowli zwanej przez Polaków gac-hałzem, młodzież zaczęła organizować potańcówki. Sala szynkowa o powierzchni dużej stodoły

⁵³ Stille Nacht (Cicha noc) – tradycyjna kolęda niemiecka, napisana w 1818 roku przez Josepha Mohra (słowa) i Franza Xavera Grubera (melodia) w Austrii. Stała się jedną z najpopularniejszych kolęd na świecie. Przetłumaczona na setki języków.

⁵⁴ Verfluchten – niemieckie słowo oznaczające „przeklęty”, używane jako przekleństwo.

⁵⁵ Scholtisei nazwa domu sołtysa wywodząca się od średniowiecznej nazwy sołectwa Schultheiß, Schultheize, Zgodnie z prawem magdeburskim sołtys był odpowiedzialny za zbieranie podatków na rzecz właściciela wsi, a słowo Schuld oznacza należność. Polskie określenie gac-hałz pochodzi od niemieckiego Gasthaus co oznaczało dom gościnny lub pensjonat, bo i taką funkcję pełnił Scholtisei. Budynek został wyburzony w 1975 roku. Gienia uprosiła pracowników budowlanych żeby filar z sali bawialnej zostawili u niej na podwórku i tak też się stało. Niestety kilka lat po jej śmierci filar zniknął.

doskonale się do tego nadawała. Piękne, łukowe sklepienie podpierał na środku kamienny filar prawie metrowej średnicy. Pod filarem zasiadał z akordeonem Piotrek i ledwie rozciągnął miech już wokół zaczynały wirować pary. Ściany i część sklepienia pokrywały freski przedstawiające niebo. Złote Słońce przemierzało nieboskłon od wschodu jasnoniebieski, ciemniejący do granatowego w stronę zachodu. W najciemniejszym rogu przycupnął srebrny księżyc opierzony rojem gwiazd. Mówiono, że kiedyś w gac-hałzie mieszkał jakiś malarz⁵⁶, a że nie miał czym zapłacić za nocleg namalował gospodarzom to cudo. Sobotnie potańcówki kończyły się zwykle przed północą ale młodzież jeszcze długo spacerowała po wsi od domu do domu.

Rano, w niedzielę trzeba było wstać i pójść do kościoła. W pierwszych miesiącach polsko – niemieckiej „wspólnoty” msze prowadził niemiecki proboszcz. Większość autochtonów wyznawała katolicyzm tak jak napływowi, jednak wspólna konfesja nie ułatwiała zbliżenia. Wrogie wobec Niemców zachowania Polaków, w pewnym stopniu zrozumiałe po kilku latach nieludzkiej okupacji, wprowadziły miazmat zbiorowej odpowiedzialności i stały się codziennością Albendorfu. Zagubieni i osamotnieni Niemcy nie mieli ani siły, ani możliwości żeby się obronić. Kradzieże i przemoc skłaniały autochtonów do szybszego wyjazdu. Wieś szybko się polonizowała.

Pewnego, lipcowego dnia Josef Tshöke stał na szczycie Ackerbergu⁵⁷ i wdychał zapachy pól. Poniżej w dolinie połyskiwał w Słońcu pomarszczony strumień, pracowicie odmierzający czas obrotami młyńskiego koła. Za młynem bielila się Villa Maria, dalej rozsiane jak

⁵⁶ Według legendy w Scholtisei nocował słynny dolnośląski malarz Michael Wilmann ze swoimi uczniami, kiedy w okrzyszyskim kościele p.w. NNMP montowano wyposażenie ze starej krzeszowskiej bazyliki. Zapewne mieszkali tu tylko uczniowie Wilmanna, bo sam malarz wtedy już od kilku lat nie żył.

⁵⁷ Dziś góra nazywa się Węglarz

kamyki domki osiedla, a na lewo od nich dwie wieże wapiennika⁵⁸. W tle, na prawo od Potschendorfu⁵⁹ wyrastało strome, południowe zbocze Rabengebirge, a na lewo góra Johannisberg⁶⁰, od Czechosłowackiej strony opadająca pionowym uskokiem jak przecięty nożem bochen chleba. W środku wsi górował nad innymi budynkami dom sołtysa – Scholtisei. Na horyzoncie w rozedrganym od skwaru powietrzu unosiła się Schneekope. Mein Heimat – Josef wpatrywał się przymrużonymi oczami w każdy szczegół krajobrazu i każdy, podmalowany wzruszeniem, zamknięty w kolejnej łzie, przedzierał się przez bruzdy góralskich policzków, a potem rosił pobielającą przedwcześnie brodę i wsiąkał w grunt ogorzałej skóry. Było mu ciężko, kiedy zaczęła się wojna, kiedy zginęli bracia, kiedy ze zgryzoty rozchorowała się i szybko umarła matka, ale teraz kiedy miał porzucić dom, w którym palił świece żeby umarli odnaleźli drogę, dom wokół którego założyli z żoną ogród - ukochane miejsce ich córek - czuł, że rozpada się Josef Tschöke i że z bryłek tego gruzu nie powstaje nikt komu mógłby zaufać, kto udźwignie ciężar poprowadzenia rodziny w nowe, bezpieczne miejsce. Nie miał odwagi wracać do domu. Jak spojrzeć w oczy żonie, córkom, jak im powiedzieć, że ich życie w Albendorfie dobiegło końca. Czy nie łatwiej byłoby skończyć jego własne, tu na Ackerbergu, z całym znanym światem u stóp ?

W sierpniu, zaraz po żniwach, rodzina Tschöke, zabierając – zgodnie z nakazem polskich władz - tylko rzeczy osobiste, po raz ostatni stanęła na

⁵⁸ Słynny, najpiękniejszy w okolicy wapiennik, zwany Zameczkiem. Przed wojną interesował się nim tajemniczy baron von R. z Willmersdorfu (dziś dzielnica Berlina) i zapewne chciał z wapiennika uczynić atrakcję turystyczną. Zameczek został wysadzony w powietrze przez polskie wojsko. W czasie wycofywania się Niemców pod naporem Armii Czerwonej, oddziały Wehrmachtu porzuciły w Zameczku swoje uzbrojenie. Polskie matki obawiały się o bezpieczeństwo swoich dzieci i poprosiły o oczyszczenie budowli z pocisków. Detonacja okazała się najprostszym sposobem wykonania zadania, ale nie najskuteczniejszym skoro jeszcze siedemdziesiąt lat później na okolicznych łąkach znajdowano niewybuchy pochodzące z Zameczku.

⁵⁹ Obecnie Bečkov

⁶⁰ Obecnie Jański Wierch

peronie dworca Albendorf, którego nazwę nowi mieszkańcy zmienili już na Albinów⁶¹.

Późnym latem Gienia wybrała się z pewnym Józkiem na grzyby. Ruszyli na przełaj, przez pole do świętej figurki, dalej leśną drogą obok krzyża Weyrichów, potem obok nowego domu Suchanków i ich rozpadającej się starej chaty. Minęli dom Pazeltów, w którym zamieszkali Fedorczukowie z Wołynia, przeszli wzdłuż łąnu pięknie kwitnących wiech prosa i w końcu zanurzyli się w lesie.

– Bajkowy las - westchnął Józek.

- O tak, bajkowy ! – Gienia szeroko otwartymi oczami patrzyła na żółte głazy piaskowca porośnięte seledynowymi mchami. Otaczała je ciemnozielona, gęsta jak włosy trawa. Na kilku głazach wyrosły świerki obejmując je szponami korzeni. Zdawało się, że drzewa zaraz uniosą skały i rzucać hen, że za nimi pójda i że cały las się ruszy, i że tak od zawsze idzie, idzie i idzie. Dalej droga prowadziła w górę do granicy, ale tam nie wolno było chodzić. Zaoranego pasa strzegli polscy pogranicznicy, którzy zajęli kwatery i szlaki niemieckiego Grenschutzu⁶².

– Szkoda, że nie można iść na Czechy – powiedział Józek – mówili mi Niemcy, że niedaleko stąd są piękne skały. Nazywają je Adersbach⁶³.

- Czechy są zakazane Józek, lepiej patrzmy za grzybami – powiedziała Gienia.

Zatrzymali się przy starym świerku i rozejrzeli uważnie dokoła. Zeschła ściółka nie rodziła grzybów, nawet w wilgotnych rowach pozostałych po zrywce drewna nie dojrzeli ani jednego kapelusza.

⁶¹ Wiosną 1946 roku Albendorf został przemianowany na Albinów (w kilku dokumentach i na kilku mapach pojawiła się też nazwa Albanów) i tej nazwy używano jeszcze w styczniu 1947 roku, mimo że Komisja Ustalania Nazw Miejscowości nadała wsi nazwę Okrzeszyn już w listopadzie 1946 (Rozp. Ministra Administracji Publicznej i Ministra Ziem Odzyskanych z 12 listopada 1946.)

⁶² Grenschutz to niemieckie oddziały ochrony granic.

⁶³ Aderspach, czes. Adršpach miejscowość w Czechach znana ze Skalnego Miasta, formacji skalnych wpisanych do Obszaru Chronionego Krajobrazu CHKO Broumovsko. Popularny cel wycieczek pieszych, jeden z magnesów przyciągających turystów do pensjonatów przedwojennego Albendorfu. Odległość 8 – 9 km.

– Lubisz czereśnie Gienia ?

– Bardzo, a gdzie są ?

Chłopak złapał Gienię za rękę i śmiejąc się pobiegli w dół. Stara czereśnia rosła w połowie drogi między domem Pazelta i nowym domem Suchanków. Rodziła ogromne i pyszne owoce. Trudno powiedzieć do kogo należała, ale Fedorczuk był przekonany, że do Pazelta, a skoro do niego to i do Fedorczuka. Jak wypatrzył dwójkę młodych skubiących czereśnie nie wiadomo, może śledził ich jeszcze w drodze na grzyby, bo ledwie wypłuli pierwsze pestki usłyszeli kilka przekleństw, a potem zobaczyli biegnącego w ich stronę chłopca. Józek dał znak żeby uciekali pod górę. Gienia po dwudziestu metrach zaczęła tracić dystans więc odrzuciła wiaderko, skoczyła w bok, w pole owsa i przykucnęła. Fedorczuk poszwendał się chwilę wciąż przeklinając, a potem zabrał porzucone wiaderko i poszedł do domu. Przez parę dni wymawiali sobie nawzajem, Fedorczuk Gieni złodziejstwo, a ona chłopcu ukraińską chciwość, aż w końcu sprawa rozeszła się po kościach.

W międzyczasie Okrzeszyn opuściło wiele niemieckich rodzin, dla których wspólne zamieszkiwanie z Polakami okazało się zbyt trudnym doświadczeniem lub które nie chciały poddać się obowiązkowi przyjęcia polskiego obywatelstwa.

- Mamo, a wiesz, że Loitzele likwidują sklep i też wyjeżdżają - powiedziała Gienia krojąc pomidory, które tu w Albendorfie jadła pierwszy raz w życiu.

– Niech jadą, sami się tu lepiej urządzimy. W przyszłym tygodniu Ramsowie otwierają sklep po Kopetschach - odpowiedziała matka.

– Ciekawe czy będą kawa i cukierki – Gienia się oblizła.

– A kto tu widział kawę i cukierki odkąd Kopetsche wyjechali, Gienia !

Lepiej poszukaj sobie jakieś roboty, widzisz, że pieniędzy wciąż brakuje,

słyszałam, że do tkalni będą ludzi zatrudniać.

- Do której ?

– Tej po Bönschach, no tam przy kopalni. Teraz będzie się nazywać „Gopło”.

- O ! To będę miała blisko.

– Jużes taka pewna, że cię wezmą ? Tkalnia to nie kuchnia.

– Wezmą, wezmą, szybko się uczę i mam gadane.

– Zarozumiała smarkula ! – zaśmiała się matka.

I wzięli. Inżynier Passler, którego Bönsch'owie zostawili żeby dbał o ich tkalnię, ucieszył się, że Gienia zna niemiecki. Odtąd co rano maszerowała gościńcem w dół wsi i w „Gople” przyuczała się do obsługi krosien. Po pracy zachodziła na plotki do dawnego domu elektryka Paula Jochmanna⁶⁴, który przed wyjazdem przyjął pod dach frau Deusse - wdowę z dwójką dzieci, a frau Deusse jakoś bardzo polubiła Gienię. Sama, zmuszona przez los została w Okrzeszynie, a ta krewka, polska Mädchen знаła niemiecki jako jedyna z przyjezdnych.

- Frau Deusse wie gehts⁶⁵ ?

- O Genia, nicht langer Deusse aber Dojze⁶⁶. Ja Polka teraz. Mam polskie dokumenty.

– O ! to znaczy, że zostajecie ?! Wspaniale, zaraz powiem mamie.

– Po co tak ozorować – Gienia usłyszała męski głos. Postawny mężczyzna wyszedł do kobiet na ganek. – Ty tu mieszkasz Lis ? Jak to ? Miała ochotę podrażnić temat, ale zmieszanie widoczne na twarzy pani Dojze powiedziało jej wszystko.

– To dobrze pani Dojze, bardzo dobrze. Lis to porządny chłop, będzie pani łatwiej. Idę do Świerada po kawałek słoniny, kupić pani coś ?

⁶⁴ Paul Jochmann prowadził firmę budowlaną i elektryczną. Zajmował się też sprzedażą radioodbiorników.

⁶⁵ Pani Deusse jak leci ?

⁶⁶ O Gienia już nie Deusse ale Dojze.

– Gdzie ty żyjesz Gienia - odezwał się Lis - Świerad zamknął rzeźnię.

Władza go prześladowała, kontrola za kontrolą, domiary, koncesje. Lepiej mu się opłaci po domach świnie rznąć i wędzić.

– Idę już pani Dojze, mama chce żebym ją dziś uczesała.

– Leć, leć, fryzurę na niedzielę trzeba mieć porządną.

Gienia była już przy mostku, kiedy usłyszała krzyk Lisa – Powiedz ojcu, że jak ma coś do zmielenia to niech się śpieszy, bo za tydzień zamykają młyn! Młynarz znalazł kupca na koło i żarna. Gieni zrobiło się żal. Lubiała, wracając po pracy do domu, przystanąć na chwilę na mostku i wsłuchać się w rytmiczne chlap, chlap uderzających o lustro wody łopat koła. Wkrótce jednak miała się skończyć i praca. Zamknięto zakłady tkackie „Gopło”. Maszyny rozmontowano i przewieziono do większej tkalni w Uniemyślu. Na miejscu okazało się, że demontaż był o wiele łatwiejszy niż ponowny montaż. Krosna ciągle się zacinały, osnowa rwała, „ch...j nie robota” – dosadnie ujął sytuację brygadzysta. Gienia zaczęła częściej pomagać w gospodarstwie, co Nosal przyjął z aprobatą, bo w miarę jak odmawiały posłuszeństwa kolejne poniemieckie maszyny, ręcznej roboty było coraz więcej. Ziemia w Okrzeszynie nie była urodzajna. Rolnicy wspomagali glebę podkradanymi z PGR-u⁶⁷ nawozami, dzięki którym jako tako rosły żyto i ziemniaki. Z przydomowych ogródków udawało się uzyskać trochę warzyw, w chlewikach świniom przyrastały boczki, po podwórkach biegały kury, w kałużach taplały się kaczki – jakoś się żyło.

Przynajmniej do czasu, kiedy niespodziewanie w domu Nosalu pojawił się wspólnik⁶⁸. Obcy człowiek zajął pokój na górze i obcesowo

⁶⁷ PGR – Państwowe Gospodarstwo Rolne to element socjalistycznych przemian w rolnictwie. W PGR-ach zatrudniano pracowników na etatach, podobnie jak w fabrykach. Powstawały po 1949 roku na bazie np. dawnych majątków niemieckich. Były centralnie sterowane przez państwo i przeważnie mało efektywne.

⁶⁸ W 1948 roku Minister Ziem Odzyskanych zarządził dokwaterowanie na okres pięciu lat przesiedleńców do już obsadzonych polskich gospodarstw. Nazywano ich wspólnikami. Dorota Sula „Działalność przesiedleńczo-repatriacyjna Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w latach 1944-1951”, str. 98

włączył się w życie rodzinne domowników. Chętnie smarował chleb masłem, ale bardzo niechętnie na to masło pracował. Nie znał się ani na uprawie ziemi, ani na hodowli zwierząt. Kiedy kupił, nie wiadomo gdzie konia i po wielu nieudanych próbach, w końcu zaprzągnął do wozu w parze z koniem Nosali, ten na komendę wio ruszył do tyłu. Nosal patrzył na współnika coraz podejrzliwiej i uważał za szpiega władzy ludowej więc do stołu z nim nie siadał, a do pomocy wzywał tylko wtedy, kiedy już naprawdę nie dawał sam rady. A władza wpychała do co większych gospodarstw współników, żeby się świeżo upieczeni posiadacze hektarów nadmiernie nie dorabiali na handlu płodami rolnymi, żeby ich mieć na politycznym oku, a oficjalnie żeby im „pomóc” w codziennej pracy. Wspólnik Nosali wiedzy rolniczej nie miał, umiejętności też żadnych, a swoją obecnością doprowadził do wielu konfliktów z krewkim gospodarzem. Zapewne źle by się to współnikowanie skończyło, gdyby na nie nadeszła kolektywizacja rolnictwa. Na szczęście dla Nosali, intruza wkrótce przeniesiono do PGR-u i zapanował spokój.

Gienia lubiła od czasu do czasu zajść na przystanek PKS, gdzie z koleżankami plotły o tym i owym, jednak ważniejsze było to, że naprzeciwko, w oknach przesiadywali przystojni chłopcy z Wojsk Ochrony Pogranicza. Sygnałem do schadzek był żołnierski apel wieczorny, kończony chóralnie pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy przyjm litośnie Boże prawy”, po której, w tak zwanym czasie wolnym żołnierze zapełniali otwarte okna uśmiechniętymi buziami. Do późnego wieczora trwało obustronne pokrzykiwanie dziewcząt i chłopców. Kilku żołnierzy zakochało się na zabój i po zakończeniu służby albo zostali z wybrankami w okolicy albo zabrali je ze sobą do domów w różnych stronach Polski. Póki

co, ich zadaniem była ochrona granicy, którą nielegalnie, z bardzo różnych powodów próbowali przekraczać Niemcy, Polacy i Czesi.

Pewnego dnia, w progu urodziwej Gieni pojawił się pan szeregowy w mundurze wyjściowym, z pagonami, wężykami na kołnierzu, z otokiem w rogatej czapce i zapytał czy Gienia wybrałaby się z nim na spacer po wsi. Z powodu niewielkiego wzrostu nieszczególnie przypadł do gustu wybrance, za to wybranka marzyła o zdjęciu w mundurze. W sieni wisiał na haku poniemiecki Zeiss⁶⁹ i Gienia szybko wpadła na pomysł jak wykorzystać sprzyjający moment.

– Może bym i poszła na spacer – powierciła stópką w ziemi i przechyliła zalotnie głowę – ale może wpierw by się pan żołnierz rozebrał i zrobił Gieni zdjęcie tym oto fotoaparatem ? Zamachała zdjętym z haka sprzętem.

- A na co mi się rozbierać, żeby panience Gieni zdjęcie wykonać ?

- A po to, że chcę zdjęcie w twoim mundurze !

Przekomarzali się chwilę, po czym Gienia wskoczyła w nieco za duży uniform, a żołnierz na bosaka, w kalesonach i rubaszce⁷⁰ z dyndającym na szyi aparatem wysadził głowę z sieni i nieufnie omiótł wzrokiem podwórko.

– Dawaj, dawaj ! - krzyknęła Gienia wskazując na kamień - chcesz się ze mną przejść po wsi czy nie ?!

Od tamtej chwili, jako jedyna dziewczyna we wsi, miała w pudełku fotografię w mundurze. Znajomość z szeregowym skończyła się po tym jednym spacerze, głównie dlatego, że w międzyczasie zaczął się wokół Gieni kręcić, wyższy o głowę od szeregowego przybysz z Wielunia.

⁶⁹ Aparat fotograficzny wyprodukowany w niemieckich zakładach Carla Zeissa w Jenie. Aparaty tej firmy uznawane były za jedne z najlepszych na świecie.

⁷⁰ Rubaszka – prosta koszula bawełniana lub lniana

Antoni Fertala zakończył właśnie pracę przy remoncie żegiestowskiego tunelu⁷¹ w dalekich Beskidach i rozglądał się za nową, górniczą robotą. Kopalnia uranu w Okrzeszynie rozpaliała ciekawość i dawała nadzieję na przyzwoite zarobki. W poszukiwaniu kwatery zabrnął do dużego domu schowanego w leszczynowym gąszczu. Zapukał do drzwi i przedstawił się - Antoni, Antoni Fertala. Dalszy ciąg uwiądnął mu w gardle na widok niebieskich oczu w oprawie wąskich, ukośnych brwi schodzących do nasady prostego nosa, pod którym uśmiechały się zawadiacko zmysłowe usta. Gienia patrzyła na łagodną twarz mężczyzny o ujmująco skromnym uśmiechu, jakiego wcześniej nie widziała. Przez chwilę serca młodych uwolnione od wojennego przyduchu rozkołatały się niepokojąc brzuchy i gardła. Tak różni jak świergotka i puszczyk poczuli nieznane dotąd przyciąganie, przyjemne mdłości, upał i mróz jednocześnie. Wzajemnie zauroczeni, zakochani pozostali razem ponad pięćdziesiąt lat, do samego końca, kiedy Antoni złamany wylewem zaległ obłożnie i po dwóch latach wytrwałej opieki Gieni zmarł, a ona odeszła dwa lata później. Leżą razem, ona ze wsi Złotne i on z Wielunia połączeni w mogile, na poniemieckim cmentarzu w Chełmsku Śląskim.

⁷¹ Tunel żegiestowski otwarty 18 grudnia 1931 roku, o długości 512 m umożliwiał przejazd pociągów między Krynicą – Zdrój, a Muszyną i dalej do Słowacji. Uszkodzony w czasie wojny, wymagał pilnych prac remontowych.

Zosia

Zofia Podobińska z. d. Pach 1934 – 2020, przyjechała do Okrzeszyna w 1945 roku ze wsi Miłkowa, gmina Korzenna, powiat nowosądecki.

Pachowie wyruszyli wcześniej rano. Ciężarówka, do której zabrali tylko niezbędne rzeczy zawiozła ich na dworzec w Nowym Sączu. Pociąg stał już na peronie. Lokomotywa rozgrzewała czarny brzuch przed długą podróżą na zachód. Szli wzdłuż składu wypatrując przez okna wolnych miejsc.

- Tu jest jedno ! Wsiadaj, weź Zosię i Jasię na kolana, a ja ze Stasiem idę dalej ! - Pach przekrzykiwał tumult i świszczący parowóz.

- Janek ! Nie rozdzielajmy się. Możemy stać całą drogę, byleby razem.

W końcu, w ostatnim wagonie znaleźli przy drzwiach akurat tyle miejsca żeby zmieścić się z bagażem. Mała Zosia usiadła na tobołku, wcisnęła głowę między rodziców i przywarła policzkiem do okna. Jasia i Staś przycupnęli na pożyczonej od ciotki walizce. Pociąg ciężko ruszył, by po dłuższej chwili nabrać rozpędu i potoczyć się do miejsc, w których pasażerowie mieli rozpocząć nowe, lepsze życie. Pachowie byli pewni, że gorzej niż w Miłkowej być nie może. Mieszkali na komornym u rodziny. Najmowali się do różnych prac, a dziećmi zajmowała się niepełnosprawna ciotka. Nie mieli ani skrawka własnej ziemi. Latem wychodzili na pola z koszami, do których zbierali resztki kłosek pozostałe po cudzych żniwach. Kłoski omłócali cepami.⁷² Uzyskane w ten sposób garście ziarna mama zanosila do młyna i wracała z torebką mąki, z której piekła chleb. Dni, w których jedli chleb Zosia uznawała za święta. Wiosną, do tych samych koszy wrzucali przemarznięte resztki ziemniaków pozostałe po cudzych wykopkach. Pomarżłe ziemniaki suszyli i rozkruszali. Helena zalewała te

⁷² Cep to dwa drągi połączone krótkim rzemieniem lub łańcuchem służące do wytrząsania ziarna z kłosek zboża. Dłuższy drąg to dziedziś, które trzymano oburącz, a krótszym zwanym bijakiem uderzano w ułożone na podłodze stodoły zboże.

okruchy gorącą wodą albo od święta sokiem z ukiszzonej kapusty. Od święta czyli wtedy, kiedy ciotka u której mieszkali miała dobry humor i pozwalała zbliżyć się do beczki z kapustą i odlać trochę soku do garnka. Do beczki o objętości sześciu korców wchodziło się po drabinie, a kapustę deptało w niej aż sześciu chłopów⁷³. Czasem ojciec chodził pomagać w stajniach za co dostawał trochę bobiku, którym karmiono konie. Helena gotowała ten bobik dzieciom. Bieda. W jednym wąskim pokoju spali w pięcioro, dorośli i dzieci razem. Życie na sądecczyźnie, w Miłkowej, malowniczo rozsypanej u podnóża Kobylnicy było dla Pachów udręką więc kiedy usłyszeli o możliwości wyjazdu na dziki zachód nie wahali się długo.

Oczy Zosi roztańczone jak wahadełka szklanych zegarków chłoneły zmieniające się za oknem krajobrazy. Pofalowana Małopolska ustąpiła miejsca płaskim nizinom. Jak tu wiedzieć gdzie się jest – pomyślała dziewczynka przyzwyczajona do górskich okolic, w których łatwo było znaleźć jakiś punkt odniesienia.

- Mamo, my się tu pogubimy.

Pachowa najwyraźniej myślała o tym samym, bo szybko odrzekła – Nie martw się Zosiu, to tylko tu jest tak płasko, że nic nie widać. Tam dokąd jedziemy też są góry. Będzie tak ładnie jak w Miłkowej. Kilka razy pociąg zatrzymywał się na dłużej. Lokomotywa uzupełniała zapas węgla i wody, a pasażerowie mogli rozprostować kości i zaczerpnąć świeżego, sierpniowego powietrza. Mimo zmęczenia prowadzono ożywione rozmowy. Jedni nie mogli się już doczekać dzikiego zachodu płynącego mlekiem i miodem, inni bali się zderzenia z nowym, nieznanym światem, a jeszcze inni spokojnie czekali na to, co przyniesie przyszłość, która wydawała im się tak samo od nich niezależna jak przeszłość i teraźniejszość. Wszyscy milkli, kiedy ksiądz odmawiał modlitwę do

⁷³ Prawdopodobnie chodzi o korzec krakowski czyli ok. 128 litrów, zatem beczka mieściła 768 litrów kapusty.

świętego Krzysztofa, a potem na gwizdek maszynisty wypełniali wagony i tabor ruszał dalej. Zosia zauważyła, że z widoku za oknem zniknęły wsie i drewniane domy podobne do domu ciotki.

- Mamo tu są tylko miasta, to gdzie my będziemy mieszkać.

Tym razem Pachowa milczała. Sama była zaniepokojona tym, co widziała za oknem.

- Jan, dokąd ty nas wiesz ?

- Tyle razy o tym gadaliśmy, zgodziłaś się i jedziemy razem, a nie ja was wiozę. Jedziemy z biedy do bogactwa. Patrz za okno, widzisz to miasto ?

- No widzę.

- A to jest wieś. Wszystko co ma w nazwie dorf, to wieś. Józek Fyda mi mówił.

- To jest wieś ?! Jaka ładna ! zakrzyknęła Zosia i zaklaskała.

Trzeciego dnia pociąg zatrzymał się na stacji końcowej Kamieniógóra. Pod dachem peronu, w cieniu zaległ zmęczony tłum Niemców. Pilnowało ich kilku polskich i rosyjskich żołnierzy. Gdy tylko pierwsi Polacy weszli na peron, żołnierze przepędzili Niemców pod płot. Przybysze rozglądali się z zaciekawieniem. Dworzec był ładny. Budynek z czerwonej cegły miał kształt lokomotywy. W każdym narożniku pięły się wzdłuż fasady pilastry zwieńczone kamiennymi głowami, które wyglądały jak uliczne latarnie. Duże okna oprawione w zdobne obramienia z piaskowca dodawały dworcowi elegancji. Dwuspadowy dach nad peronem wspierały żeliwne słupy, u szczytów ozdobione roślinnymi ornamentami. Pachowa usadowiła dzieci na bagażach, a Jan poszedł się dowiedzieć co dalej. Zosia patrzyła na Niemców siedzących na słońcu wzdłuż płotu.

- Mamo, czego oni są tacy smutni ?

- Nie wiem dziecko, może ich pociąg się spóźnia.

- A dokąd oni jadą mamó ?
- To Niemcy więc pewno do Niemiec.
- Raus, raus, schnell⁷⁴ – nagle żołnierze zaczęli wymachiwać karabinami popychając zdezorientowanych Niemców w stronę pociągu. Ci w pośpiechu łapali bagaże, ale żołnierze zdecydowanie kazali im wszystko zostawić. Kilku Niemców próbujących mimo gróźb pochwycić torby z jedzeniem oberwało kolbami. Kiedy upchnięto Niemców w wagonach i pociąg ruszył, żołnierze podzielili się łupem i usiedli na papierosa. Polscy przesiedleńcy przyglądali się zajściu w milczeniu. Ktoś tylko burknął, że nie godzi się ludzi z dziećmi wyganiać bez jedzenia, a inny że dobrze tak szwabom za to co w Polsce robili.
- Helena zostaniesz tu z dziećmi, a ja pojedę kawałek dalej i rozeznam co i jak. Zaraz podstawią pociąg do Albendorfu. Mam nim pojechać z kilkoma innymi.
- Nie chcę tu sama zostawać. Boję się. Kiedy wrócisz ?
- Nie bój się, patrz jaki tu tłum. Wszystkie rodziny tak robią. Żony z dziećmi zostają, a ojcowie jadą wypatrzeć jakieś dobre miejsce.
- Nie wszyscy Jasiek. Patrz, tamci idą razem.
- Bo oni zostają tu w mieście, a my chcemy na wieś. A jak tam nic nie ma, ani domu, ani wody ani jedzenia to co zrobimy. Tu jesteście bezpieczni. Jest wojsko, jest milicja. Pójdę do bufetu, może mają chociaż chleb.
- Dworcowy cennik był niespodziewanie urozmaicony, tylko ceny nie zachęcały. Zupa mięsna 50 groszy, kanapka z twarogiem 30 groszy, kawa z cukrem 40 groszy. Jan wygrzebał z kieszeni wszystko co miał, razem 1,20 zł. Kupił dwie zupy i zostało mu 20 groszy. Tyle akurat kosztowało piwo. Zawahał się. Kawa bez cukru też 20 groszy, trudna decyzja.
- Masz Hela kawę, zostaw mi łyka.

⁷⁴ Wyñoście się, szybko

Wyglodniałe dzieci rzuciły się na zupe. O jak przyjemnie parzyła podniebienie.

- Tatko, pociąg jedzie ! – krzyknęła Zosia.

Na peron wtoczył się niewielki parowóz ze śmiesznie wysokim kominem, a za nim trzy wagony, w tym jeden osobowy. Do towarowych wagonów podjechała ciężarówka. Przesuwne drzwi otwarły się z hukiem. Na auto przeładowano meble, kable, obrazy, skrzynie, żyrandole, buty, pościel, a nawet żywy inwentarz i siano. Rosjanie cieszyli się przy rozładunku i pokazywali sobie trofea cmokając. Kiedy skończyli dyżurny z chorągiewką zakrzyknął - kto ma przydział do miejscowości Zieder, Grüssau, Schömberg, Berthelsdorf i Albendorf wsiadać !

- Słyszałaś Hela, Albendorf - tam jadę !

- Nie jedź.

- Oj Helenko, tyleśmy przejechali żeby teraz co ?

- Wracajmy do Miłkowej.

Zosia zaczęła płakać.

- Przestań Helka, dzieci straszysz, niedługo wrócę – zachnął się Pach i wskoczył do wagonu.

W pociągu z Kamieniogóry do Albendorfu nie było tłoku. Pasażerowie mogli wygodnie usiąść i w skupieniu przyglądać się pejzażowi za oknem. Zieder, Grüssau, Hennersdorf, Schömberg, Berthelsdorf, na każdej stacji wysiadało po kilka osób. Mijane wsie nie przypominały tych, które opuścili kilka dni temu. Przeważały duże zabudowanie gospodarskie z murowanymi, dwupiętrowymi domami. W oczach przyszłych mieszkańców podziw mieszał się z lękiem. Niektórzy zacierali ręce – co za bogactwo ! Pach czuł, że ścisza go w dołku. Żeby tylko czekał tam na mnie dom. Żeby tylko.

- Jestem tu sołtysem – w holu dworca Albendorf odezwał się do przyjezdnych wysoki mężczyzna w mundurze – macie skierowania z PUR-u⁷⁵ ?

Mężczyźni powyciągali z kieszeni, portfeli lub kapeluszy zwitki z pieczęcią PUR. Sołtys sprawdził zapiski wnikliwie.

- Część gospodarstw objęli już Polacy. Tam nie chodźcie. – wymienił kilka numerów domów. Niemcy mieli zebranie na świetlicy i wiedzą, że mają was przyjąć. Kilkanaście domów jest opuszczonych i wyszabrowanych, ale nie ma się co zastanawiać i tak wyglądają jak pałace w porównaniu z tym co zostawiliście za sobą.

- A jak natrafię takie gospodarstwo, które bym chciał, to co mam zrobić ?

– zapytał jeden z przybyłych.

- Przyjść do mnie i zgłosić. Zapiszę na listę, że objęte przez tego czy tamtego i na razie to wszystko. Zawijać rękawy i do roboty panowie Polacy, he he.

Osadnikom nie było do śmiechu. Wyszli z dworca, rozejrzeli się po obcym krajobrazie i ruszyli szutrową drogą w dół do gościńca. Pachowi spodobał się dom z czerwonej cegły, oddalony od głównej drogi, za rzeką nad którą wisiał zadbane, drewniany most postawiony na solidnych, betonowych podporach. Na moście przystanął i wyjął papierosa. Oparty o poręcz patrzył na strumień. Szumi jak Przydonica w Miłkowej – pomyślał.

Gospodarstwo, które wybrał Pach należało do rodziny Reich. Robert, gospodarz spojrzał na niewysokiego przybysza z dezaprobatą. Poszedł do stodoły i wrócił z kosą. Pach cofnął się wystraszony, ale Reich złapał go za rękaw i poprowadził na łąkę. Sprawnie ścinał kilka pokosów trawy zarastającej miedzę i wręczył kosę Pachowi. Ten fachowo postawił kosę ostrzem do góry i pokazał Niemcowi, że chce ją naostrzyć. Reich zniknął

⁷⁵ PUR – Państwowy Urząd Repatriacyjny odpowiedzialny między innymi za organizację ruchu przesiedleńczego na Ziemiach Odzyskanych.

w stodole i po chwili wrócił z oselniczką⁷⁶. Popatrzył na wprawne ruchy Polaka, pokiwał głową i zniknął. Pach lubił kosić i czas mijał mu szybko. Reichowa przyniosła mu trochę jedzenia i wodę. Późnym popołudniem usłyszał gwizdek pociągu.

- Orzesz ty ! Przecie to ostatni pociąg na powrót, Helenka się zapłacze.

Faktycznie zastał ją na dworcu płaczącą. Płakali też Zosia i Staś.

- Myśleliśmy, że cię gdzie porwali albo i zabili. Wszystkie chłopcy wróciły, tylko ty żeś zaginął – łkając wyrzuciła z siebie Helena.

- Nie tylko ja bo i jeszcze jeden chłop z Korzennej. Spóźniliśmy się obaj na pociąg i szliśmy piechotą. Dobrze, że dzień długi i za jasności wróciliśmy, a drogi było po torach ze dwadzieścia kilometrów. Dom znalazłem dla nas bogaty. Reichy tam mieszkają ale zaraz będzie nasz. Sołtys już zapisał na listę. Jedziemy jutro rano.

Dla Pachów i dla Reichów to była niespokojna noc. Jeszcze dwa miesiące wcześniej trwała wojna, okrutna i niszczycielska, w której obie rodziny przypisane były do wrogich stron, a od jutra mają zamieszkać razem w jednym domu. W dodatku inny język, inne zwyczaje, inne wszystko oprócz woli przetrwania trudnych czasów.

Pachowie zajęli dwa pokoje na piętrze. Parter z kuchnią i dużą izbą pozostał domeną niemieckich właścicieli. Tu znajdował się cały sprzęt do obsługi domu: piec chlebowy, elektryczna masielnica, spiżarnia, wielki stół przy którym na raz mogło zasiadać dwanaście osób i zastawa złożona z ceramicznych talerzy i całkiem eleganckich sztućców. Do gospodarstwa Reichów należały dwadzieścia cztery hektary ziemi. W oborze stało dwanaście krów, dwa woły i dwa konie, w chlewie kilka świń, do tego drób. Za domem, od południowej strony w przydomowym ogrodzie rosły

⁷⁶ Oselniczka – drewniany lub metalowy pojemnik mocowany do paska spodni, napełniany wodą służył do przechowywania ostrzałki do kosy.

warzywa, a wśród nich pomidory, które Pachowie zobaczyli pierwszy raz w życiu. Pewnego dnia do Pachów przyszedł sołtys i obsztorcował Jana, że pozwala Niemcom zajmować wygodny dół, a sam kisi się z rodziną na górze.

- Panie sołtysie, mamy tu jak w pałacu, aż dwa pokoje, na co nam więcej.
 - Słuchaj Pach, tyś tu teraz pan, a Niemcy twoje sługi. Masz ich sponiewierać jak oni nas w czas wojny. Od jutra chcę cię widzieć z rodziną na dole, a szwabys mają się wynosić na górę. – Zresztą sam to załatwię. Sołtys wszedł dziarsko do izby i wrzasnął - Alle deutsche nach oben raus. Unter Polnische familie leben und jezt Pachy fuhrer tutaj ⁷⁷.

Z jego połamanej niemczyzny Reichowie zrozumieli, że i dla nich nadszedł kres względnej swobody i że nie są już u siebie gospodarzami.

- Ach so ! wyszeptał Reich. Am morgen der Hauptman, am morgen⁷⁸.
 Nazajutrz rozpoczęła się przeprowadzka, która potrwiała do wieczora. Przez kolejne dni w domu panowała nieznośna cisza, wywołana zburzeniem dopiero co z trudem wypracowanego porządku. W końcu Reichowa zeszła na dół i zaczęła szykować kuchnię do pieczenia chleba. Helena odłożyła cerowanie skarpet, otworzyła drzwi pieca, ułożyła szczapy drewna na sposób wyuczony od Niemki i przygotowała formy. Potem usiadły razem i zaczęły wyrabiać w dzieżach gęste ciasto. Po godzinie, kiedy ciasto przestało się kleić do rąk, przełożyły je do form i drewnianymi szuflami ułożyły w piecu. Dwanaście bochnów polsko-niemieckiego chleba miało wystarczyć na kolejne dwanaście dni wspólnego życia.

Pierwszą wigilię obie rodziny spędziły osobno. Pachom brakowało na choinkę i prezenty. Siedzieli w ciszy, we wciąż jeszcze obcym domu i tęsknili za rodzinnymi stronami, przywołując tylko te dobre wspomnienia. Po wigilii Reichowa zeszła na dół i zaprosiła na górę polskie

⁷⁷ Wszyscy Niemcy wynocha na górę. Na dole mają mieszkać i rządzić Pachowie.

⁷⁸ Rano panie zarządco, rano.

dzieci. Zosia zobaczyła śliczne, świątecznie ubrane drzewko. Szczyt choinki ozdabiał szklany szpic, poniżej wisiały gwiazdki, dzwoneczki, prawdziwe bombki, okrągłe ciastka, a wszystkie te ozdoby skrzyły się w świetle elektrycznych lampek. Tego wieczoru dzieci zasypiały uśmiechnięte, pod ich powiekami tliły się zaczarowane obrazki. Dorośli za to skrzętnie zamykali drzwi na klucz żeby ich, jak to gadali we wsi, Niemcy nie wydusili.

Obu rodzinom trudno było się porozumieć z powodu bariery językowej i odmiennych sposobów wykonywania codziennych obowiązków. Polski i niemiecki świat musiały się jednak przenikać, tworząc zręby wspólnoty trudnych czasów. Pachowie nabywali, z pomocą Reichów, umiejętności obsługiwanie różnych urządzeń nowoczesnego gospodarstwa, a uczyli Niemców cieszenia się drobnymi, codziennymi przyjemnościami, jak choćby pajdą chleba z masłem. Wspólnie przygotowywali i jadali posiłki. Dwie gospodynie w jednej kuchni to o jedną za dużo, ale jeśli obie otwarte są na odmienne zwyczaje mogą nawzajem skorzystać. Helena wprawiona w przygotowywaniu prostych potraw, wykorzystywała do cna każdy nadający się do zjedzenia drobiazg. Reichowa z kolei ubogacała potrawy dodatkami nie znanymi Polakom. Powszechna w Albendorfie słodka melasa pozyskiwana z buraków cukrowych, świetnie się nadawała do białego sera odciskanego w lnianej ścierece przez Pachową. Warzywa i zioła z przydomowego ogródka, pomidory, ogórki sprawiały, że niedzielne śniadanie pozwalało Pachom zapomnieć o dawnej biedzie. Posiłek zaczynano od krótkiej modlitwy, każda rodzina odmawiała ją w swoim języku. Potem zapadało milczenie przerywane pomlaskiwaniem dzieci.

W każdą niedzielę, po śniadaniu, Niemcy odświętnie ubrani wychodzili na mszę do kościoła. Zosia z zachwytem patrzyła na Niemki i ich błyszczące w słońcu kapelusze. Obie dorosłe córki Reichów, Greta

i Truda, wprawnie szyły na maszynie. Od kiedy firma Singer, tuż przed wojną zorganizowała we wsi kurs szycia, ta umiejętność stała się w Albendorfie powszechna. Niemieckie kobiety doskonaliły ją, pracując przy szyciu mundurów w zakładach rodziny Tzschentke i wykorzystywały w domach, wzbogacając zawartość szaf o modną konfekcję. Nic dziwnego, że na Zosi pochodzącej z biednej Galicji, niemieckie ubrania robiły ogromne wrażenie. Po Niemcach do kościoła wyruszali Polacy. W większości skromnie odziani, część dzieci nie miała nawet butów. Kilka rodzin, tych bardziej przedsiębiorczych, zaopatrzonych w zabrane Niemcom garnitury i sukienki wyraźnie odróżniała się od pozostałych. Z upływem czasu, w miarę opuszczania wsi przez niemieckich mieszkańców i pozostawianiu dorobku Polakom, te różnice się zatarły.

Pewnej niedzieli, po mszy, duża grupa Niemców - mężczyzn, kobiet i dzieci zebrała się w domu stolarza Dietricha. Wieść o tym spotkaniu szybko dotarła do dowódcy strażnicy WOP, który uznał je za naruszenie przepisów obowiązujących w strefie nadgranicznej⁷⁹. Żołnierze, w tym kilku konnych, otoczyli dom Dietricha i wyprowadzili uczestników spotkania na strażnicę. Tam zamknięto wszystkich, łącznie z dziećmi w sali balowej. Reich, którego na spotkaniu nie było poszedł na strażnicę wyprosić, żeby żonę i córki puszczono do domu. Pozwolono mu zabrać tylko najmłodszą Klechen. Pozostałe kobiety, jak zauważył z bólem Reich, mocno poturbowane musiały pozostać w zamknięciu. Po trzech dniach zatrzymanych poprowadzono na dworzec. Po drodze znieważano i bito Niemców bez względu na płeć. Następnie zapakowano wszystkich do pociągu i pod eskortą odwieziono do Kamienogóry. Dwa dni później wrócili pobici i okradzeni z części ubrań. Kilku nosiło ślady ciężkich przesłuchań. Greta i Truda wróciły razem z matką. Kobiety w milczeniu

⁷⁹ Z zarządzenia komendanta strażnicy, rok 1946: pkt.4. O wszelkich wiecach i zebraniach, akademiach, obchodach itp. organizatorzy (...) muszą na czas zameldować Komendantowi Strażnicy.

znosiły upokorzenia, których zaznały. Albendorf, miejsce urodzenia i szczęśliwego dzieciństwa, przepełniał teraz ból i smutek. Wydawało im się, że gorzej niż w dniach rządów Armii Czerwonej już nie będzie, ale los zgotował im przykrą niespodziankę. Wojna, dotąd odległa, toczona gdzieś na wschodzie przez żołnierzy umundurowanych rękoma tych dziewcząt, zniszczyła teraz brutalnie ich młodość i zostawiła trwale ślady w ciałach i duszach. Po kolejnych trzech dniach wrócił Schremmer, Niemiec, którego dom zasiedliła rodzina Potońców. Znalazły go dzieci wracające ze szkoły. Ledwie stał, wsparty o drewniany wychodek. Cały się trząsł, twarz miał zmasakrowaną, powybijane zęby.

Zosia pobiegła do domu.

- Mamo, mamó tam jest ten Niemiec od Potońców ! Taki słaby jakiś, trzyma się kibla, a płacze niemożliwie !

- Idź Zosiu do Potońców, niech mama Schremmerowa z córkami biegną po ojca.

Pobiegły zaraz i sprowadziły go do domu. Stary nie mógł usiąść, oparł się o piec i płakał. III Rzesza, dla której ciężko pracował wypełniając obowiązkowe kontyngenty zboża, mleka i mięsa, która przepowiadała mu świetlaną przyszłość, porzuciła go w chwili najcięższej próby i wydała na pastwę mścicieli ze wschodu. Wtedy nie wiedział jeszcze o krzywdach i zbrodniach, którymi Rzesza karmiła się w ostatnich latach. Żołnierze Wehrmachtu, którzy przemykali chyłkiem przez Albendorf, cofając się przed radziecką nawałą, nie pisnęli ani słowem o swoich wyczynach na wschodzie, a Polacy z którymi mieszkał, nie mogli mu o nich opowiedzieć, bo ani nie znali języka, który by zrozumiał, ani nie chcieli skazać nowego miejsca do życia wspomnieniami brutalnych lat. Schremmera skatowali polscy urzędnicy. Nie z powodu udziału w spisku i nie za planowanie sabotażu, ale dlatego, że mogli i że byli w tym bezkarni. Po wsi krążyły różne plotki. Jedni twierdzili, że to dawni członkowie partii nazistowskiej

opracowywali plan sabotażu, inni, że jeśli tak, to po co tam były kobiety i dzieci, dlaczego w dzień i to jeszcze w niedzielę po mszy, a nie nocą w konspiracji. Bez względu na to jaka była prawda, uczestnicy zebrania zapłacili za udział w nim wysoką cenę.

Kilka miesięcy później Reichowie opuścili Albendorf na zawsze. Pachowie zostali sami w wielkim gospodarstwie. Wraz z wyjazdem Niemców zabrakło rąk do pracy. Zosia musiała pomagać ojcu w polu i w oborze. Jej dziecięce ramiona szybko męźniały i zręcznie obsługiwały kosę, wiązały zboże w snopki, kopały ziemniaki. We wrześniu nie poszła do szkoły. Zbyt dużo miała obowiązków w obejściu i w domu żeby starczyło czasu na naukę. Nauczyciel upominał się o nią od czasu do czasu, ale Pach nie dawał za wygraną - Dajcie mi dobrego robotnika to ją puszczę.

No i sobie Pach wykrakał. Wkrótce dołączyło do niego dwóch nasłanych przez państwo wspólników. Jeden to leń migający się od - jak twierdził - zbyt ciężkiej pracy na roli. Drugim był tajemniczy mężczyzna z nieodstępującą go na krok służącą, gospodynią i zdawało się też kochanką. Pewnego dnia ów mężczyzna uciekł do lasu. Kobieta chyłkiem nosiła mu tam jedzenie, do czasu kiedy zniknął zupełnie. Nikt nie wiedział, co było przyczyną takiego zachowania, dopóki na miejscu nie pojawiła się milicja. Po splądrowaniu domu Schremmerów, z którego wyniesiono kilka sztuk broni palnej, funkcjonariusze wpadli do domu Pachów. Broni nie znaleźli, za to zarekwirowali skrzynie z odzieżą. Łupem padły poniemieckie futra i czapy, płaszcze, kurtki, nawet odzież dziecięca. Na nic się zdały lamenty Heleny. Przedstawiciele władzy uznali, że chłopskiej rodzinie takie bogactwa się nie należą. Pachowa nie dała za wygraną i kiedy milicja odjechała, pobiegła na skargę do strażnicy WOP-u. Żołnierze, którzy zżyli się już z mieszkańcami postanowili odebrać łupy milicjantom. Jak wyglądał pościg nie wiadomo. Tak czy siak odzież do Pachów nie

wróciła. Pół roku później leń wyjechał poszukać szczęścia w mieście, a kobieta straciwszy nadzieję na powrót tajemniczego mężczyzny, opuściła wieś kilka miesięcy później. Pachowie mogli odetchnąć. Oswajali się z miejscowością, wypracowywali własne metody prowadzenia gospodarstwa, urodził im się syn Tadeusz. Powoli stawali się ludźmi stąd, nie osadnikami, ale mieszkańcami Okrzeszyna.

Zosia dorastała. Odkryła w sobie szczególne zdolności do odprawiania różnych ludowych rytuałów. Wiązała do dziecięcych wózków i w końskiej uprzęży czerwone chwościki, które odstraszały demony. Świecowała uszy przy pomocy ruloników zwijanych z delikatnej tkaniny lnianej. Potrafiła usunąć różę z twarzy cierpiących na wirusowe zapalenie skóry. Ten ostatni rytuał odbywał się zawsze o wschodzie Słońca. W kawałku lnianej tkaniny wycinała otwór o rozmiarach obszaru zajętego czerwoną wysypką i układała tę ściereczkę na twarzy dotkniętej schorzeniem. Z lnianych paździerzy formowała puchaty kłębek, który kładła na skórze w otworze ściereczki. W chwili, kiedy pierwszy błysk Słońca oświeślał Okrzeszyn, podpalała kłębek, a ten spalał się w mgnieniu oka. Po kilkunastu minutach czerwona wysypka znikała.

Kiedy pod koniec lat czterdziestych na skraju wsi uruchomiono kopalnię uranu, Zosia zgłosiła się do działu kadr i po przeszkoleniu została maszynistką dźwigu, zwanego przez górników lebiodką. Lina lebiodki zakończona była hakiem, na którym zawieszano kubel i w tym kubie Zosia spuszczała na dno szybu i wyciągała na powierzchnię górników, urządzenia i urobek. Na razie trwało rozpoznawanie złoża więc obciążenie dźwigu nie było duże. Mimo to awarie zdarzały się często, a przez jedną z nich Zosia nie mogła zatrzymać kubła i górnicy jeździli w kółko góra dół, dopóki ślusarze nie uporali się z naprawą. Później zbudowano pełnowymiarową wieżę wyciągową z dużym dźwigiem do transportu ludzi i urobku, a Zosi lebiodka woziła już tylko narzędzia i czasem ślusarzy, których wzywano do

usuwania usterek. Wypadki zdarzały się tak samo często jak awarie. Górnicy łamali ręce, nogi i żebra, niektórzy ginęli jak choćby Stefan, który spadł do szybu i rozbił się na kawałki. Karetka woziła rannych do szpitala w Kamiennej Górze. Wracali PKS-em, odzyskiwali siły i szli do pracy. Kopalnia dobrze płaciła i zapewniała urlopy, a w przyszłości emeryturę. O promieniotwórczym skażeniu nikt głośno nie mówił. Skutki wdychania uranowego pyłu wydawały się odległe, niepewne, a może i zmyślane.

Zosia zamieszkała wtedy w małym, białym domu należącym do rodziny Scholz'ów. Wcześniej stary Scholz zachodził do Pachów po mleko.

- Zosia, ty dobra kobieta jesteś. Pracowita. Przyjdź do nas. My już z żoną starzy, córka poszła za mąż za polskiego wojskowego i wyjechała do Wałbrzycha. Nie dajemy rady ze wszystkim. Będziesz nam pomagać, a kiedy umrzemy przejmiesz po nas dom – mówił łamaną polszczyzną stary Scholz.

- Nie idź – wołała mama Zosi – wiesz, że on ma na imię Adolf, jak Hitler ! Jeszcze cię tam zabije.

Odważna Zosia przeprowadziła się mimo matczynych ostrzeżeń do Scholzów. Dobrze jej tam było, a kiedy Niemcy pomarli, została i radziła sobie dzielnie ze swoim białym domkiem. Czasem tylko prosiła matkę, żeby nakarmiła kury, kiedy sama musiała dłużej zostać w kopalni. Mama nie lubiła tego zajęcia, a z domu Zosi zawsze wychodziła tyłem, rozglądając się na boki, czy czasem z zaświatów nie wyskoczy na nią stary Scholz.

Frania

Franciszka Kowzowicz z. d. Bołzan ur. 1937 w Powiażach na Litwie

- A tu, na zdjęciu ciocia z Warszawy, bo nasza rodzina wszystko w Warszawie, tylko my tu tak zabłądzili po prostu – zaczęła opowieść Frania, Franciszka z domu Bołzan.

Przed wojną Bołzanowie mieszkali w Powiażach, w obwodzie Oszmiańskim, w ówczesnym województwie wileńskim. Tato Frani – Augustyn - był szanowanym cieślą. Rodzinie wiodło się całkiem nieźle. Wojna zmieniła wszystko. Z Powiaż do Okrzeszyna jest prawie tysiąc kilometrów. Daleko. Jednak Frania, żeby się do Okrzeszyna dostać, musiała pokonać znacznie większą odległość, mniej więcej dziesięć tysięcy kilometrów.

Pierwszy z rodziny przyjechał do Okrzeszyna Augustyn Bołzan. Po zajęciu Wilna przez Rosjan, ukrywał się przez miesiąc w piwnicy u ciotki. Nie sam. Razem z nim cisnęło się wilgotnej klitce kilku innych antysowieckich partyzantów. Z potrzasku wybawił ich wszystkich pewien odważny, polski wojskowy, który przyjechał furgonetką wypełnioną pustymi beczkami i w tych beczkach przewiózł chłopaków do Polski, brawurowo omijając ruskie patrole. Po wojnie Augustyn objął gospodarstwo rolne na Pomorzu. Przez dwa lata męczył się z ziemią zupełnie sam, licząc na rychłe przybycie żony i dzieci. Jednak sprawy urzędowe związane z przyjazdem rodziny zaczęły się komplikować więc uznał, że osamotniony nie podoła w rolnictwie i za namową znajomych przeniósł się do Jeleniej Góry. Stamtąd z kolei wygnał Augustyna miastowy zgiełk. Razem z kolegą przyjechali do Okrzeszyna, zachęceni możliwością uzyskania zatrudnienia w kopalni uranu. Bołzanowi wystarczył jeden spacer żeby się w Okrzeszynie zakochać i tu został na zawsze. Podjął pracę

wartownika w kopalni uranu. Stróżował przy pierwszym wyrobisku , przygotowanym przez Niemców jeszcze przed wojną w czasie rozkwitu wydobywania węgla, a w którym teraz poszukiwano żył rudy uranowej. Wkrótce nadarzyła się okazja zajęcia domu położonego blisko kopalni, jednak po roku przeniesiono wydobywanie na drugą stronę wsi więc Augustyn wynajął mieszkanie u rodziny Wiśniewskich, na osiedlu, nieopodal nowego szybu. Miał szczęście, bo wkrótce zwolniło się duże mieszkanie w domu na tym samym osiedlu, które przejął, powiększył i to tu powitał kilka lat później rodzinę przybyłą z Litewskiej SRR⁸⁰.

W tym czasie żona Augustyna – Wiktoria i dzieci pozostawały w Powiażach, które nie leżały już w Polsce, w województwie wileńskim, ale w Litewskiej Republice Socjalistycznej. Brat Frani po przejściu choroby Heinego – Mediny wymagał opieki. Zajmowały się nim we trzy - mama, Frania i starsza siostra Regina. Niepełnoletnia Frania musiała jakoś zdobyć paszport inaczej o wyjeździe do Polski nie mogło być mowy⁸¹. A wyjeżdżać trzeba było. Wielu Litwinów źle traktowało polskie rodziny, które zostały bez męskiej ręki, a przypadek pań Bołzan nie był wyjątkowy. Wielu polskich żołnierzy i partyzantów musiało uciekać do Polski nielegalnie, unikając w ten sposób prześladowań i śmierci z rąk członków NKWD⁸². Zdarzało się, że litewski mężczyzna wdzierał się do polskiego domu i kazał sobie podawać obiad i wódkę. Po konsumpcji nierzadko

⁸⁰ Litewska SRR – Litewska Socjalistyczna Republika Radziecka. W 1944 Litwa została włączona do ZSRR i stała się jedną z piętnastu republik komunistycznego imperium.

⁸¹ Po włączeniu Litwy do ZSRR w 1940 oraz ponownie w 1944 roku wprowadzono radziecki system paszportowy. Posiadanie paszportu było warunkiem koniecznym przy wyjeździe w ramach repatriacji. Rodzina Frani posiadała odpowiednie dokumenty, a Frania zapewne z powodu niepełnoletności nie. Komunistyczne władze Litwy utrudniały w ten sposób polskim rodzinom repatriację.

⁸² NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) – sowiecka organizacja zajmująca się między innymi sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego. Odpowiedzialna za Zbrodnię Katyńską, masowe deportacje Polaków w latach 1940-41, pacyfikację polskiego podziemia, prześladowania Polaków na Kresach Wschodnich i inne zbrodnie.

dochodziło do napaści na bezbronne kobiety. Opór łamano grożąc nożem albo rozbitą butelką.

Frانيا zdecydowała się pójść jedyną, możliwą drogą prowadzącą do uzyskania papierów niezbędnych do repatriacji. Pojechała do Moskwy, gdzie mieszkała dobrze znająca urzędnicze meandry ruskiej biurokracji kobieta oferująca pomoc, oczywiście za opłatą. Po kilku dniach Frانيا otrzymała skierowanie do pracy w dalekim Os-Kamienogorsku – jednym z wielu centrów przemysłowych Związku Radzieckiego. Do skierowania dołączono tysiąc rubli i paszport – ten upragniony dokument, który wkrótce stanie się przepustką do Polski !

Uciążliwa, zimowa podróż do Os-Kamienogorska leżącego w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej ⁸³ trwała wiele dni. Po przyjeździe Fienia - bo tak zruszczono imię Frani - razem z koleżanką zatrudniły się w cegielni przy załadunku cegieł. Praca była ciężka, ponad siły dziewczęcych ramion, ale na razie nie było wyboru, rosyjscy przełożeni nie mieli litości dla Polek. Za to kierowcy ciężarówek lubili pożartować z dziewczętami i starali się tak podstawiać samochody, żeby załadunek był choć trochę łatwiejszy. Jednego z nich udało się Frani uprosić o podwiezienie do znajomych, mieszkających pięćdziesiąt kilometrów od Os-Kamienogorska. Wyjechali pod wieczór. Kiedy zrobiło się ciemno kierowca zatrzymał auto i zaczął się niewybrednie do Frani przystawiać. Dzielna dziewczyna trzasnęła go po łapach i uciekła z szoferki. Szła przed siebie nocą i nie bała się wilków ani niedźwiedzi. Dzikie zwierzęta zdawały jej się tamtej nocy bliższe niż człowiek. Po długiej wędrówce zobaczyła w oddali światelko.

⁸³ Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka (Kazachska SRR) – jedna z republik ZSRR, utworzona w 1936 roku z przekształcenia Kazachskiej ASRR. Wchodziła w skład Związku Radzieckiego do 1991 roku, kiedy to ogłosiła niepodległość jako Republika Kazachstan. Czasem we wspomnieniach Polaków utożsamiana z Syberią ale to odrębne terytoria.

- Wymodliłam sobie ten ratunek – pomyślała Frania i przyspieszyła kroku. Zapukała w okno. Drzwi otworzyła jej para starszych ludzi.

- Czy mogłabym u was przenocować ?

- Tak, tak wejdź dziewczynko.

Przy gorącej herbacie opowiedziała swoim wybawcom o wydarzeniach ostatnich godzin. Para okazała się polskim małżeństwem, które zostało wywiezione do Kazachstanu po zajęciu wschodniej Polski przez Związek Sowiecki w 1939 roku.

- Nie jest tu łatwo panienko ale wracać nie mamy siły. Z naszego domu na Kresach nic nie zostało. Tu domek zbudowaliśmy, a ziemi jest dużo więc póki sił starczy pracować będziemy i pewno tu pomrzemy.

Gospodarze przygotowali poślanie na piecu i Frania szybko zasnęła, czując ciepło na plecach i w sercu. Rano wyruszyła w dalszą drogę i po dwóch godzinach doszła do celu. Kilka tygodni później znów natknęła się na tego samego, złego kierowcę. Bardzo ją przeproszał.

- Fienia, ty bardzo podobasz mi się i dlatego ja..

- Dlatego rzuciłeś się na mnie z łapami ! – Nie chcę cię znać.

- Przepraszam Fienia, przepraszam i dziękuję ci, żeś ty tego nie zgłosiła mundurowym ani kierownikowi.

Frانيا odeszła z cegielni. Wkrótce skierowano ją do pracy na plantacji arbuzów. Praca była ciężka, Słońce paliło niemiłosiernie, za to słodkich, soczystych arbuzów pojadła na całe życie. Po sezonie przepracowanym na plantacji przydzielono Franię do pomocy geodetom, przy wytyczaniu granicy między sowchozem i kołchozem⁸⁴. Praca polegała na odmierzaniu w terenie stałych odcinków i zaznaczaniu odległości przez

⁸⁴ Sowchoz i kołchoz – dwie formy gospodarowania rolniczego w komunistycznym Związku Radzieckim. Sowchozy były państwowymi gospodarstwami rolnymi (w Polsce jego odpowiednikami były PGR-y), a kołchozy były spółdzielniami rolniczymi. Jedne i drugie służyły kolektywizacji rolnictwa czyli wprowadzaniu własności spółdzielczej i państwowej w miejsce prywatnej. Podlegały centralnemu planowaniu i były nieefektywne.

usypianie kopca, w który wbijano sztycę⁸⁵ ze znacznikiem. Pracę wykonywało pięć osób pod kierunkiem geodety i kierowniczkii. Sprzęt, namioty i ludzie podróżowali wozem zaprzęgniętym w dwa woły. Zwierzęta źle znosiły upały, często się pokładały, robota nie szła. W końcu geodeta wymienił woły na konie, co znacząco przyspieszyło wędrówkę przez kazachski step. Wstawali wcześniej rano i pracowali do zmierzchu. Potem rozstawiali namioty i rozpalali ognisko. Zjadali niewielkie racje żywnościowe i szli spać. Kierowniczka z geodetą w jednym namiocie, a reszta w drugim. Frani wydawało się, że geodeta zmusza kierowniczkę do spania w jednym namiocie i przy najbliższej okazji, powodowana tłumioną do tej pory złością, zdzieliła go sztycą przez głowę niby niechcący.

- Fienia ty mnie celowo przez łeb zdzieliłaś – krzyknął.
- Nie, nie panie geodeto, nie celowo ale całkiem niechcący.

W końcu Frania zakończyła okres obowiązkowego zatrudnienia na dalekim wschodzie i mogła wracać do Powiaż, a stamtąd do Polski. Podróż wlokła się niemiłosiernie, w samym Giżycku postój trwał dwa tygodnie. Do Okrzeszyna przyjechała z mamą, siostrą i bratem 20 listopada 1959 roku. Jakież to było radosne spotkanie z tatą !

Bołzanowie zamieszkali w połówce domu na osiedlu. Mawiano o nich ruscy z powodu melodyjnej, wileńskiej wymowy. Wrażliwa Frania wyczuwała w mieszkańcach Okrzeszyna brak wzajemnego zaufania i sąsiedzkiej troski. Augustyn pracował wtedy jako stróż w kopalni uranu. Frania nosiła mu codziennie do pracy śniadania, a raz w tygodniu jeździła do Kamiennej Góry załatwiać różne rodzinne sprawunki. Starsza siostra Regina pracowała przez pewien czas w tkalni „Gopło”, a później wyjechała

⁸⁵ Sztyca - wykorzystywana w geodezji, inaczej stojak lustra mierniczego

do Dąbrowy Górniczej, do córki. Na strychu okrzyszynskiego domu Bołzanów z niewyjaśnionych przyczyn wybuchł pożar. Ogień szybko się rozprzestrzeniał. Na szczęście płomienie dostrzegli żołnierze stacjonujący w strażnicy WOP i szybko przybiegli z pomocą. Wodą z wiader napełnianych w studni zdołali ugasić pożar, zanim przyjechała straż pożarna.

Frانيا była ładną i zadbaną kobietą, miała powodzenie, a rodzina zaczęła jej udzielać matrymonialnych rad. W końcu, po licznych namowach wyszła za mąż za naczelnika poczty w Leszyczynku i tam na kilka lat wyjechała. Z tego związku urodził się jej ukochany syn Janusz. Podjęła pracę jako wychowawczyni przedszkolna. Była bardzo lubiana przez wychowanków i doceniana przez rodziców i personel. Uwielbiała kwiaty, a jej ogród – oczko w głowie - stał się wkrótce jednym z ładniejszych w Leszyczynku. Niestety małżeństwo nie ułożyło się i po sześciu latach Frانيا wróciła do Okrzeszyna. Podjęła jeszcze jedną próbę – jak to się mawia - ułożenia sobie życia, ale nowy związek nie przetrwał zbyt długo. Wiodła później dobre i w miarę wygodne życie. Wyjeżdżała do Kołobrzegu. Czasem zapraszano ją do Kamiennej Góry na dancing. Była wdzięczną i inteligentną rozmówczynią, nie stroniła od towarzystwa. Pracowała w szwalni, w zakładach Watra w Chełmsku Śląskim. Wyjeżdżała kilka razy do Świeradowa. Tam, siedząc na ławce obserwowała spacerujących Niemców. Miała mieszane uczucia, bo zawsze się Niemców bała, tak jak i Rosjan. Pojechała kiedyś do Zgorzelca do siostry szwagra. Granica była już otwarta i poszła na zakupy do Görlitz. Kupiła kilka koszulek i bieliznę. Kiedy wracała, przed mostem nad Nysą Łużycka zaczepił ją elegancki Niemiec. Posiedzieli na ławeczce i przegadali ponad godzinę. Bardzo chciał się z Franią spotkać następnego dnia ale nie poszła. Jak to tak z Niemcem, chwilę porozmawiać i owszem, ale spotkać się ? Nie.

Praca w szwalni w końcu dotkliwie odbiła się na Frani kręgosłupie. Musiała przejść dwie operacje. Po drugiej zwolniła się z pracy, bo w domu miała pod opieką synka, starzejącą się mamę i niepełnosprawnego brata.

Frانيا nosi w sobie silne więzi rodzinne i jest bardzo przywiązana do swojego panieńskiego nazwiska. Ekshumowała mamę Wiktorię i brata Czesława, a ich szczątki złożyła w grobie ojca, Augustyna Bołzana – Tak, żebyśmy wszyscy razem byli.

Opiekuje się też grobem żołnierza, chłopca z domu dziecka, który tuż przed wyjściem do cywila zginął w Uniemyślu. Wojsko z Okrzeszyna wiozło pranie do Wałbrzycha. Kierowca nie wiedział, że ma w ładowni pod plandeką pasażera na gapę. Młody chłopak wypadł na zakręcie drogi i rozbił się o jezdnię. Frانيا bardzo mu się podobała, mówił to jej kilka razy, ale ona odmawiała, nauczona przez szwagra, że wojak to tylko dziecko robi i ucieknie.

- Może i chciał się zabić, bo z wojska nie miał dokąd wrócić ? – Frانيا zawiesiła głos.

Na łagodnej twarzy pani Franciszki pojawił się pogodny uśmiech, który często towarzyszy wspomnieniom minionych, złotych lat młodości. Zaczynamy podróż porywani podmuchem losu, jak ziarenko dmuchawca wiatrem i jak ono mamy przed sobą tysiące możliwych dróg, ale kiedy u schyłku życia przysiadamy w fotelu i już wiemy, że z wielu możliwych dróg przeszliśmy tę jedną, że innej nie spróbujemy, pozostaje nam tylko uśmiech.

Jasia

Janina z.d. Kucharzak, 1929 – 2019, po 1. mężu Łuczyńska, po 2. Kupracz przyjechała do Okrzeszyna w 1947 roku spod Stawiszyna, powiat kaliski, województwo wielkopolskie.

- Jasiu, gdzie mieszkałaś przed wojną ?

- W Kozim Miasteczku, ze dwadzieścia kilometrów od Kalisza.

- Jak to w Kozim Miasteczku !?

- Tak nazywali nasz Stawiszyn. Mieszkało w nim wielu Żydów, a prawie każdy z nich miał kozę, no i taka przylgnęła do nas nazwa. Niemcy też mieszkali, ale oni tak bardziej przy lesie.

- Jak się żyło ?

- Dobrze, bardzo dobrze.

Mój tato szanował Niemców za ich pracowitość i porządek więc kiedy się dowiedział w 1939, że wkroczą do Polski i będą w niej rządzić to się nie zmartwił i dopiero wtedy, kiedy na własne oczy zobaczył, że to nie było pokojowe wejście ale wojna, kiedy zobaczył Niemca zdzierającego ze ściany i deptającego święte obrazki, to powiedział – o, to już nie ci sami Niemcy, których znałem. Jakiś lucyfer w nich wlażł. Długo Niemiec w Polsce nie będzie, bo z Bogiem zaczął wojować, a kto z Bogiem zaczyna ten przegra. Przed wojną tato pracował w Niemczech i mawiał, że tam wysoka kultura i kraj rozwinięty. - Jak jesteś Niemcowi winny jeden grosz, to on się o ten grosz upomni, ale jak on tobie jest winien grosz to zawsze odda.

Jak tato szedł do niemieckiego urzędu coś załatwić, to nigdy urzędnik nie stawiał się wyżej. Wręcz przeciwnie, bo urzędnik rozumiał, że skoro tata jest rolnikiem, to jego los zależy od pogody. Pogoda bywa zmienna więc czas rolnika jest bardzo cenny, a to w końcu on urzędnika żywi. Sprawy załatwiane były szybko.

Przez naszą wieś prowadziły tory kolejki cukrowej. Tę kolejkę zbudował właściciel wielkiej cukrowni w Zbiersku⁸⁶. Okoliczni chłopci kontraktowali buraki cukrowe i w czasie zbiorów zamawiali wagony, które podstawiano jak najbliżej gospodarstwa. To bardzo usprawniało załadunek i transport. Wielu rolników uprawiało wtedy buraki. To był dobry interes. A jeden Żyd to kupował od nas gęsi. Paśliśmy je na łąkach wzdłuż cukrowych torów. Kiedy przyjeżdżał, pomagaliśmy mu te gęsi łapać i on zawsze nam za to dawał parę złotych. No ale potem Niemcy zaczęli wojnę i wszystko przepadło. Tato zmarł w 1940 roku. Zostaliśmy sami z mamą. Siedmioro dzieci nas było. Trzej bracia, trzy siostry i jeszcze jedna z pierwszego małżeństwa taty. Niemcy wysiedlili nas spod Stawiszyna do nieodległej wsi Aleksandrów, zaraz za Kościelcem gdzie zostaliśmy do końca wojny. Tylko ta córka taty z pierwszego małżeństwa została, bo inne nazwisko miała, a rozkaz był wysiedlić Kucharzaków. Ona została z niemiecką rodziną, która zajęła nasz dom. Mam do Niemców wielki żal o to, że nam taką straszną krzywdę zrobili. Po śmierci taty nie dość, że mama została z nami sama, to jeszcze zabrali nam dom z wyposażeniem i wysiedlili nas w listopadzie przed samą zimą.

Wyprowadzili nas z domu tak jak my stali.

- Nic nie bierzcie bo was nago puścimy. Sami wam damy po uważaniu.

To było pierwszego listopada. Zimno i deszcz. Całą gminę wysiedlili o drugiej w nocy. Zebrali wszystkich i posortowali rozdzielając rodziny. Myśmy tak stali, chłopaki się porozchodzili jakby ich to bawiło.

- Mamo, może się gdzie wyjedzie w świat ! - wołali.

Ja miałam wtedy jedenaście lat i nie było mi do śmiechu. Kazik miał trzynaście, średni brat czternaście, a najstarszy szesnaście. Jak podszedł do nas Niemiec, to mama zaczęła z nim rozmawiać po niemiecku

⁸⁶ Oficjalna nazwa kolejki cukrowej to Kaliska Kolej Dojazdowa. Faktycznie służyła przede wszystkim transportowi buraków cukrowych.

i wynegocjowała, żeby nas do Niemiec nie wywozili i nie rozdzielali. Myślał, że jesteśmy Niemcami, tylko nazwisko Kucharzak mu nie pasowało, a mama dobrze mówiła po niemiecku, bo przed wojną jeździła do prac sezonowych w Niemczech. Nie można wszystkich jedną miarą mierzyć. Niemcy nas bardzo skrzywdzili, ale też i jeden nam pomógł. Wiózł nas nocą, taki jeden co tu już dłużej mieszkał, może z Glizanowa. Trzeba przyznać, że to wysiedlenie Niemcy dobrze zorganizowali. Mama dostała kartkę z nazwą miejscowości docelowej i nazwiskiem Niemca, który miał nam zapewnić podwózkę, a on z kolei otrzymał kartkę z nazwiskiem mamy. Zebrali nas na placu, a tu leje i zimno, i błoto. Mama biega od wozu do wozu przerażona, bo jej się ta docelowa miejscowość Aleksandrów z okolicami Warszawy skojarzyła, a o tym naszym Aleksandrowie za Kościelcem zapomniała. No więc martwiła się, jak przeżyjemy długą podróż w taki ziąb. W końcu znalazła właściwego wozaka, który – jak się okazało - mamę znał. Rozmawiali po niemiecku i on jej wytłumaczył, żeby się nie bała, że to blisko, raptem kilka kilometrów. I tak w deszczu i w zimnie dojechaliśmy do Aleksandrowa, pod dom należący do starszej pani i jej córki. Obie zajmowały większy pokój. W drugim rozlokowała się rodzina wysiedlona z Kościelca. Nam została kuchnia. W kuchni stał żelazny piecyk, jedno łóżko, stół zbitý z desek i ławka pod oknem. Kuchnia była taka szeroka jak łóżko długie. Mama, dwie siostry i ja spałyśmy w łóżku. Najstarszej siostry Stasi nie było, bo ona ukrywała się, żeby jej Niemcy na roboty nie wywieźli. W czasie łapanek brali wszystkich od szesnastu lat, Stasia miała siedemnaście. Bracia spali na ławce i na podłodze.

Na drugi dzień po wypędzeniu, pojechaliśmy z mamą i bratem do naszego domu po jakąś pościel. Niemiec, który już zdążył zająć nasz dom bardzo się zdziwił, że mama tak dobrze mówi po niemiecku. Przybyliśmy

wczesnym popołudniem , kiedy niemiecka rodzina jadła obiad w naszej niedawnej kuchni. Kiedy mama to zobaczyła wyszła przed dom i zaczęła bardzo płakać. Niemiec wyszedł do niej i kazał zaczekać. Mama powiedziała mu, że to był nasz dom kiedyś i że ona bardzo prosi o wydanie jej kilku kołder bo w chacie, do której nas wypędzono nie ma pościeli. I jeszcze o jakiś garnek, bo ma siedmioro dzieci, a nie ma w czym nawet zupy ugotować. W naszym domu zostały cztery porządne pierzyny, bo w rodzinie były cztery córki i wiadomo, każda z nas musiała być przecież wyposażona⁸⁷.

- Zrobicie sobie swoje pierzyny, bo w domu jest dużo pierza. – powiedziała do Niemca mama.

Ten kazał swojej żonie wybrać i odłożyć najlepsze pierzyny, a dwie najcięższe, wykonane z gorszej jakości pierza oddał mamie. Moja przyrodnia siostra, która została z tą niemiecką rodziną, pełniła obowiązki gospośi. Mama wykorzystała tę okoliczność i poprosiła ją o ukrycie różnych rodzinnych drobiazgów w stodole i w obejściu. Ta siostra jak tylko mogła to nam pomagała. Kiedyś Niemcy zabili świnie, to siostra mamie trochę mięsa przyniosła i garnek smalcu. Produkty zwierzęce mama przechowywała w piwnicy, w ziemiance, w której wykopała dołek, obłożyła kamieniami i tak trzymała. Tato przed wojną pracował trochę w Ameryce. Miał dwa ładne kożuchy i dużo garniturów. Mojemu bratu Kazikowi udało się jeden kożuch i dwa garnitury zabrać tej niemieckiej rodzinie. Mama kożuch i garnitury sprzedawała i miała z tego trochę pieniędzy na życie.

Po roku mieszkania z mamą, kiedy skończyłam dwanaście lat, zabrano mnie od niej do pracy w majątku⁸⁸. Po prostu przyszedł jeden Niemiec, powiedział, że już jestem duża i zabrał mnie. Akurat żniwa były

⁸⁷ Wyposażona czyli zaopatrzona przez rodzinę w posag, którego pierzyna była istotną częścią.

⁸⁸ W czasie 2. Wojny Światowej, w Wielkopolsce kolonizowanej przez Niemców wiele polskich dzieci w wieku 10 – 18 lat odbierano rodzinom i zmuszano do pracy na rzecz III Rzeszy.

i potrzebowali ludzi do wiązania snopków. Ale najgorsze to było dojenie krów, a Niemcy mieli ich dziesięć. Ci Niemcy mieli swoją gospodarkę i jeszcze trzy polskie dołączone więc było u nich dużo ziemi i zwierząt. Wydojenie dziesięciu krów dla dwunastoletniej dziewczynki, to było ponad siły, ale co było robić. Niemka budziła mnie o czwartej rano – Johanna aufstehen ! Doiłam i płakałam. A zdarzało się, że mi głowa poleciała na krowę i usypiałam, albo i czasem mleko rozlałam, to szybko wodą polewałam, żeby Niemka nie zobaczyła. Nie było żadnej litości, ani popłakać, ani się komu pożalić, bo jeszcze bym oberwała. Jak już wydoiłam, to pastuch wyganiał krowy na pole i pasł, a na mnie czekało pięćdziesiąt świń, które trzeba było wykarmić. O siódmej jadłam śniadanie i szłam do prac polowych. Czasem w niedzielę mogłam pójść do mamy, a wróciłam do niej na stałe w 1945 roku. Mój brat też pasł krowy. Na rowerze. Zrobił drewnianą ramę i przymocował do niej dwa koła, to znaczy same obręcze, bo opon nie miał skąd wziąć. Tłukł się na tej maszynie po drogach. Kiedyś niemiecki żandarm, który jechał na prawdziwym rowerze aż się zatrzymał i z niedowierzaniem kręcił głową, patrząc na tego małego Polaka i jego pojazd.

Niemiec, u którego pracowałam gromadził pod domem cegły i drewno budowlane. Lubił się chwalić rosnącym powoli stosem. - Jeszcze trochę uzbieram i pobuduję nowy dom ! Jednak zanim uzbierał, wojna się skończyła i materiał posłużył Polakom, którzy wracali do Wielkopolski.

- No właśnie Jasiu, wojna się skończyła i jak to się stało, że zamieszkałaś w Okrzeszynie, daleko od rodzinnych stron ?

Przyjechałam do Okrzeszyna sama z kuzynką, w październiku 1947 roku. Miałam wtedy siedemnaście lat. Poszłam do babci, a tam się pakuje moja kuzynka Hela, Hela Skorupska – wszystkie ciuszki zbiera i mówi, że

jedzie na zachód. – Wiesz co Jasia, pojedź tam ze mną, będę się lepiej czuła z kimś bliskim niż sama.

Hela jechała do Okrzeszyna, w którym wcześniej zainstalował się syn jej sąsiada. Znałam go, tego Stefana, bo kiedyś razem pasaliśmy gęsi wzdłuż cukrowych torów. To z tych Biesiadów, sąsiadów babci, jedna dziewczyna wyjechała do Okrzeszyna, potem jej brat Stefan, no i Hela ośmielona zaproszeniami od tych Biesiadów, też postanowiła wyjechać. Przyjechałyśmy obie pociągiem. Idziemy przez wieś do Biesiadów, patrzymy, słuchamy, a tam na górze harmoszka gra i wódka się leje, śpiewają aż się niesie. Się potem okazało, że co dzień. Gdzie to tak jest żeby gospodarz całe dnie balował ! Kto tu przyjechał na ten zachód ?! – pomyślałam.

Zamieszkałyśmy na początku z Helą u tej dwójki Biesiadów. Dokładnie, to było tak, że Biesiadówna wyszła w Okrzeszynie za męża za Szymczyka. Wzięli do siebie jej brata Stefana i tak mieszkali razem w domu nad Gierułą. Tego domu już nie ma. Jednak wkrótce pojawiła się pewna uciążliwość związana z tym, że Stefan Biesiada zaczął się do mnie zalecać, na co ja zupełnie nie miałam zgody. To uprzykrzanie skłoniło mnie do poszukania innej siedziby, zwłaszcza, że i z siostrą Stefana stosunki nie układały się zbyt dobrze. Obie z Helą dostałyśmy pracę w tkalni „Gopło”. Na łące między Pachami, a Mastejami stał dom. Do dziś zostały po nim tylko dwa przyczółki po moście nad potokiem. W tym domu mieszkał człowiek, który przez pewien czas był kierownikiem naszej tkalni. On miał też w posiadaniu mały, zielony dom, tam nad Gamoniami, z którego nie korzystał. Domek wyposażony był w dwa łóżka, szafę, małą szafkę, stół i krzesła. Kierownik zgodził się wynająć nam domek. „Gopło” zaczynało pracę o siódmej, o dziewiątej była piętnastominutowa przerwa śniadaniowa. Potem był jeszcze obiad, a oprócz obiadu dawano

pracownikom prowiant. Mięso dawali, kaszę i mąkę. W grudniu pracę kończyło się po ciemku więc i po ciemku poszliśmy z kierownikiem do zielonego domku. Kierownik świeci latarką, a tam na stole pół bochenka chleba, dzbanek kawy i filiżanki.

– O Matko Święta ! Tu chyba Niemcy z lasu mają jakieś schadzki ! – wykrzyknęłam.

Podówczas krążyły po wsi wieści, że część Niemców ukrywa się w lasach i pod osłoną nocy nawiedzają niezamieszkałe domy.

– Wiesz co Hela, tu nie będziemy mieszkać, bo tu nas szybko Niemcy zabiją. – powiedziałam do kuzynki.

Na drugi dzień, razem ze świtem przyszło na nas otrzeźwienie. Już bardziej odważne postanowiłyśmy mimo wszystko zamieszkać w „nawiedzanym” domu.

– Może nas jednak nie zabiją – podsumowała Hela.

Wiezorami trzęsłyśmy się ze strachu, w dzień odważniałyśmy i powoli żeśmy się z zielonym domkiem oswoiły. Przestałyśmy widzieć za oknem leśnych Niemców. Przez tyle lat okupacji Niemcy zabijali kogo chcieli i kiedy chcieli, że trudno było nam odgonić wojenne koszmary. Widok dzbanka i filiżanek długo jeszcze miałam w głowie.

W fabryce były tylko trzy rodziny żonate, a tak to sama młodzież pracowała. Te prowianty bardzo pomagały. Kawalek słoniny, trochę kaszy i już można było jakiś obiad ugotować. Przez jakiś czas przysługiwał też węgiel, to i było czym w piecu napalić. Ale potem zabrali i prowianty, i węgiel. Szkoda, bo pensje były takie marne, że w sklepie niewiele można było za nie kupić. Co z tego, że we wsi były trzy piekarnie i dwie masarnie. Za całą, pierwszą wypłatę kupiłam sobie płaszcz. Pojechałam po niego specjalnie do Kamiennej Góry, w sobotę po pracy, rowerem. Rower kupiłam od Margoty – Niemki mieszkającej z rodziną w kuźni Burkerta naprzeciwko willi Maria. Przez pierwszy miesiąc w tkalni przewijałam na

specjalnych kołowrotek nici na szpulki. Po miesiącu przeniesiono mnie na krosna, ale kiedy zwolniło się miejsce w zakładowej kuchni wykorzystałam okazję i się do kuchni przeniosłam. W kuchni wiadomo głodu nie ma. Czasem słoik zupy wzięłam do domu, czasem – jeśli ktoś w delegację wyruszył i obiadu nie zjadł - to się i kawałek mięsa zdarzył. W piecu paliliśmy z Helą węglem i drewnem. Drewno, znaczy chrust zbierałyśmy w lesie i przynosiłyśmy do domu w chustach na plecach.

Tu w Okrzeszynie męża poznałam, Staszka Łuczyńskiego. Najpierw przyjechał jego brat i odbywał służbę wojskową. A mój Staszek przyjechał do pracy w kopalni i tak się poznaliśmy. Jak już wyszłam za męża i dzieci miałam, to tylko Boga prosiłam, żeby nie było wojny, żeby moim dzieciom tak młodości nie zmarnowała jak mnie. Mój mąż Staszek Łuczyński miał nieodłącznego przyjaciela nazwiskiem Samek. Wszędzie razem chodzili. Kiedyś była zabawa w Uniemyślu, chciał mnie na nią zabrać, ale ja się wtedy źle czułam i nie miałam ochoty na tańce. Mówiłam mu, żeby sam nie szedł. On czasem w różne się pakował kłopoty, a rękę miał tak ciężką, że bał się nią uderzać, ale jak już mu się sama wyrwała, to różnie mogło być. Po prostu, on sam nigdy nie zaczynał, chyba że ktoś zaczął, to wtedy lubił oddać. Dlatego nie chciałam żeby sam szedł. No, ale mi powiedział, że idzie Samkowi pomóc w sprzedaży biletów. Wraca o północy cały zakrwawiony. Uderzył Władka Nosala, brata Gieni Fertalowej. I przychodzi taki zakrwawiony, ja mówię no widzisz i coś ty dobrego narobił. Mówiłam ci żebyś nie szedł, bo narozrabiasz i już żeś narozrabiał.

- Aaaa to że narozrabiałem to nic, to że mam garnitur skrwawiony, to też nic, ale ja pewnie człowieka zabiłem.

Zacząłam rozpaczać – proś Boga żeby on żył ! No i Władek przeżył. Wypatrzyłam go rano przez okno, jak szedł z zabandażowaną głową do domu i wielką odczułam ulgę.

Jak przyjechałam do Okrzeszyna, to tu jeszcze trochę Niemców mieszkało. Passler, który zarządzał tkalnią mieszkał z synem Johanem i córką Utą, Hollotta mieszkał i pani Deusse, w domu Zosi Pach jeszcze mieszkali starzy Scholzowie, a naprzeciwko Willi Maria rodzina, których nazwiska nie pamiętam. Babka mieszkała, małżeństwo i ich córka... może Janisch ? No i jeszcze majster z tkalni - Breuer.

A kościół – nie taki pusty jak teraz - był pełen ludzi. Ostatnie ławki, te pod chórem zawsze zajmowali żołnierze. Zresztą rano na apelu, na strażnicy śpiewali „Kiedy ranne wstają zorze”, a wieczorem o osiemnastej „Wszystkie nasze dzienne sprawy.” Przestali śpiewać przed 1953 rokiem. Pracowałam o szóstej w ogródku i myślę – a co to, że żołnierze nie śpiewają. Przy okazji jakiejś zabawy zapytałam jednego z nich dlaczego już nie śpiewają – Przyszedł rozkaz, że już nie wolno - odpowiedział.

Zdarzyło się kiedyś, że pewien mężczyzna zakradł się na strych sąsiadki i zaczął napełniać worek ziarnem ze skrzyń. Sąsiadka usłyszała hałasy na górze. Domyśliła się, że ktoś kradnie zboże.

- Rany boskie ! – zakrzyknęła i odważnie ruszyła na strych. Ziarno na zasiewy, to warunek rolniczego przetrwania. Jest święte. Walka w jego obronie, to bój o przeżycie. Ile to ludzi zmarło z głodu na Ukrainie, kiedy im Stalin zboże zabrał. Nie czas na strach !

- Oż ty, antychryście ! – wykrzyknęła sąsiadka - jakbym tu jaki pistolet miała, to bym ci łeb odstrzeliła ! To ty Polak, a jak jaki ruski rolnikowi ziarno kradniesz ! Złapała drewniany kołek i dalej tłuc chłopca po plecach.

– Zabieraj się stąd gadzie ! A kto mi posieje, ty ?! A kto mi dzieci wykarmi, ty ?!

Złodziej nie spodziewał się po samotnej gospodynie takiej zawziętej obrony i uciekł, a zbiegał po schodach tak szybko, że mało nóg nie połamiał.

Tam gdzie teraz jest przystanek autobusowy, zaraz po wojnie był park, a za nim basen. Po prawej był młyn, a obok rzeźnia, którą po Niemcach przejął pan Świerad. Za rzeźnią, w małym domu mieszkali Janczakowie, którzy później przenieśli się do Uniemyśla. Tam gdzie Izworski mieszkał, gdzie teraz Rózia, tam był sklep spożywczy, w tym końcu od strony willi Marii. A gac-hałz to właściwie wojsko zrujnowało. Palili w piecach wszystkim, nawet drzwi wyjmowali i nimi palili, drewnianymi podłogami też. W salach trzymali siano dla koni.

Zapytałam kiedyś Niemkę, która została Polką - panią Deusse, ona spolszczyła nazwisko na Dojze - jak to kiedyś z tym gac-hausem było.

– Wiesz Jasia – odpowiedziała Dojzowa - tam można było wejść dziadem, a wyjść panem. Wszystko było. Tam się można było ubrać, uczesać, obuć, zabawić, zjeść i wyspać.

A jaka w tym gac-hałzie piękna świetlica była ! Kilka razy byłam tam na zabawie. Tam były wspaniałe pomalowane ściany. Na jednej, pamiętam był zachód słońca, na drugiej był wschód Słońca, później góry takie doliny, wiatrak był taki duży na jednej, taka była piękna sala bawialna, sufit się trzymał na jednym filarze.

Była we wsi taka Niemka, co się z nią brat Kakowej – Józek ożenił, a ona właśnie tu wykryła, że Niemcy pomordowali ludzi w lesie. Ona o tym wiedziała, bo pracowała w takim biurze i tam usłyszała, że zamordowali chyba ze dwadzieścia osób. Zawieźli tych ludzi samochodem, nad taką wielką dziurę, tam ich rozstrzelali i tam do dołu powrzuć. Pamiętam jak tam szliśmy kiedyś, za takim krzyżem kawałek, nie pamiętam już czy

w prawo czy w lewo. Duży las tam był, a niżej małe świerki rosły. Była tam piwnica wymurowana, w której Niemcy chowali amunicję⁸⁹.

Do Warszawianki⁹⁰ też zajrzałam. Pokoje były dwu- i czteroosobowe, a każdy miał żółtą klamkę. Zapamiętałam też szklaną werandę. Wokół pensjonatu rosły jabłonie rodzące bardzo smaczne jabłka. I wiśnie były i czereśnie. Zanim tę Warszawiankę całkiem zburzyli, to niejeden sobie stamtąd wannę wyniósł, umywalkę, mebel jakiś. Kiedyś koleżanka zawołała mnie, żebym szła z nią patrzeć jak wojsko idzie do cywila. Dziewczyny płaczą, że chłopcy wyjeżdżają. Wołają dziewczyny – Wracajcie tu, żeńcie się z nami ! Zabierzcie nas stąd ze sobą !

– Matko święta – żebym ja się musiała prosić o to, żeby chłopak się ze mną żenił, żeby po mnie przyjechał ?! O nie ! Zresztą żołnierzy to ja się bałam i z nimi nie chodziłam. Bo wiadomo, że żołnierz to zaraz do łóżka ciągnie, dziecko robi i co potem z tym dzieckiem począć.

Tu na Osiedlu⁹¹ była świetlica w bloku, na pierwszym piętrze. Taka fabryczna świetlica. Czasem jakieś zebranie się odbywało, no i czasem zabawy. Kiedyś przed zabawą chłopcy wpadli na pomysł, żeby salę powiększyć i wyburzyli dwie ściany. No, ale wiadomo, żeby ściany wyburzyć, to trzeba najpierw sufit jakoś zabezpieczyć. A oni nie zabezpieczyli, chyba myśleli, że sufit sam będzie fruwał nad podłogą. Mówią nam: ściany pomalowane na białą, podłogi umyte - nic tylko się brać za dekorowanie sali. Huczna to miała być zabawa, nawet Cyganów do grania skądś przywieźli. To idziemy we trzy dziewczyny stroić świetlicę. Wchodzimy na salę, a tu sufit wisi niżej naszych głów. Narobiłyśmy

⁸⁹ Prawdopodobnie chodzi o nieznaną dokładnie liczbę jeńców rosyjskich pracujących we wsi, których Niemcy rozstrzelali przed wkroczeniem do Albendorfu Armii Czerwonej. Zwłoki tych osób zostały ekshumowane i pochowane w masowym grobie położonym na łąkach między Chełmskiem Śląskim, a Lubawką.

⁹⁰ Warszawianka to nieformalna nazwa dawnego, niemieckiego schroniska Buchenbergbaude, prowadzonego przez Roberta Teske. Budynek z mansardowym dachem i oszkloną werandą stał na zachodnim zboczu Buczaka, niem. Buchenberg. Zburzony po 1945 roku w niewyjaśnionych okolicznościach.

⁹¹ Osiedle, niem. Siedlung, dzielnica Okrzeszyna założona najprawdopodobniej w okresie rozkwitu lokalnej kopalni węgla.

rabanu, chłopcy przybiegli, tu coś przybili, tam podparli, do góry dźwignęli i się jakoś ta zabawa odbyła. Dużo później ściany na nowo postawiono i budynek wrócił do dawnego stanu.

Zabawy w Okrzeszynie organizowano w czwartki, piątki i niedziele. Ja bardzo lubiłam tańczyć. Mama pisała do mnie spod Stawiszyna – Przyjeżdżaj Jasiu, bo tu w gospodarstwie trzeba pracować, a nie ma komu. Nie chciałam wracać. Moi bracia po powrocie z robót przymusowych w Niemczech, też nie wrócili do Stawiszyna. Wyjechali do Wrocławia. Mama została sama z najmłodszą córką.

Rozumiałam ją, ale zostałam tu. Dla mnie Okrzeszyn to był raj !

Broszura w formie PDF dostępna nieodpłatnie

Stowarzyszenie Doliny Zadrny

58-420 Lubawka Okrzeszyn 52

Wystawa Albinów⁴⁵ — historia miejsca

e-mail: dolinazadrny@gmail.com

tel. +48 604 254 162